

# odgłosy



7 (589)  
16. II. 1969 r.  
Cena 1,50 zł

**TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK XII**



Fot. A. Wach

**JERZY DARNAL**

## Teraz i jutro

Dwa lata to okres doprawdy niedługi, a przecież miara czasu zawodzi, kiedy im się przyjrzymy nie z perspektywy miesięcy, tygodni i dni, tylko przez pryzmat do końca zamkniętych tą niedoskonałą kalendarzową granicą. Bo przecież minione dwa lata ogromnej, liczącej ponad osiemdziesiąt tysięcy członków, łódzkiej organizacji partyjnej, to nie tylko okres sprawozdawczy, okres między kolejnymi konferencjami. To dostrzegalny na pierwszy rzut oka dalszy rozwój miasta i postęp we wszystkich dziedzinach gospodarowania; to wydatne powiększenie naukowego i kulturalnego dorobku.

Oblicze Łodzi, nazywanej niegdyś „złym miastem”, zmienia się na naszych oczach. Jest to proces tak ewidentny, że spokojnie możemy sobie darować liczby obrazujące wielkość nakładów na ogromną przebudowę, która przeobraza nasze miasto w ośrodek pracy i nauki godny swojej nazwy. Doprawdy, tu nikogo nie trzeba chyba przekonywać. Silniej niż najdokładniejsze liczby przemawiają bloki nowych mieszkaniowych osiedli, smukłe sylwetki wieżowców wtopionych w śródmiejski pejzaż, hale fabryczne wzniesione ze szkła i betonu. Przeszły one być zaledwie symbolami postępu. Dziś, w dwudziestym piątym roku władzy ludowej, one już nie dają miastu koloryt, powszednieją, zaczynają przeważać w krajobrazie.

A przecież to zaledwie fragment przeobrażeń, tych najbardziej uchwytanych, które składają się na poprawę warunków naszego życia i naszej pracy. Istotnym składnikiem wizerunku nowej Łodzi jest zaawansowany już proces rekonstrukcji i modernizacji przemysłu, któremu poddana została imponująca liczba zakładów. I to nie tylko tych, którym nasze miasto zawdzięcza w kraju miano włókienniczej stolicy.

Odwołajmy się tutaj do kalendarza, przypomnijmy sobie inwestycje przegryzione z dwóch tylko ostatnich lat, a okaże się, że

**Dalszy ciąg na str. 3**

**JAN BABIŃSKI**

## ZACHOD WIEDZIAŁ I MILCZAŁ

Rządy krajów anglosaskich od pierwszych dni były dokładnie poinformowane o położeniu więźniów w hitlerowskich obozach koncentracyjnych.

Budzące grozę raporty nadchodziły do Londynu i Waszyngtonu z różnych źródeł. Głównie via Gene-

wa. Drobniagowe relacje napływały bezpośrednio do gabinetu Podsekretarza Stanu w Waszyngtonie Semmer Welles'a. Wszystkie te raporty wydawały się jednak amerykańskim politykom mocno przesadzone i mało prawdopodobne. Także tendencyjne. Wietrzono prowokację. Niemcy, naród poetów, muzyków i filozofów, naród o wielkiej i starej kulturze, miałby być zdolny do takiego barbarzyństwa? Nie, to niemożliwe. To propaganda, której cele są oczywiste. Komuś bardzo widocznie na tym zależy, by Stany Zjednoczone wciągnąć co rychlej do wojennej zawieruchy. Ponure wieści docierały jednak do Ameryki falą wciąż wyższą i wyższą. Pod naciskiem opinii publicznej Semmer Welles polecił w końcu zbadać otrzymywane meldunki. Sprawdzanie ich wiarygodności przedłużało się jednak.

Tymczasem hitlerowcy zdolali zagazować milion Żydów, Polaków, a także więźniów innych narodowości.

Wreszcie wybuchła bomba. Informacje o obozach śmierci odpowiadały prawdzie. Pod ciężarem faktów prysnęły ostatnie wątpliwości.

Pod koniec 1942 roku Anthony Eden przyjął w Londynie Jana Karskiego. Potem, na specjalnej audycji, rozmawiał z Karskim prezydent Stanów Zjednoczonych Roosevelt. Kim był Karski? Był oficerem Armii Krajowej. Tuż przed zakończeniem wojny opublikował w Londynie książkę pod tytułem — „Story of a secret State” (Opowieść o podziemnym państwie). Jeden egzemplarz tego dzieła znajduje się w łódzkiej Bibliotece Uniwersyteckiej. Książka jest tak pasjonująca, napisana tak barwnie, że czyta się ją jednym tchem jak najciekawszy kryminał.

Z polecenia krajowych organizacji podziemnych Karski przedostał się w przebraniu estońskiego esesmana w pierw do warszawskiego getta, potem do obozów zagłady w Treblince i Bełżcu.

Miał na własne oczy zobaczyć co tam się dzieje. Miał to zapamiętać, opisać, o ile

możliwe naszkicować, aby następnie jako naoczny już świadek poinformować świat z ramienia polskiej partyzantki, o niesłychanych zbrodniach popełnianych przez Niemców. Karski wywiązał się z tego karolingowego zadania znakomicie. Co sam przeszedł, opisać trudno. Przedarł się do Londynu po dramatycznej ucieczce z lochów Gestapo. Nie można było Karskiemu nie wierzyć. Pokazywał Rooseveltowi ślady po torturach, jakie sam wycierpiał. Pokazywał powykręcane stawy. Pokazywał też palce bez paznokci.

Roosevelt zakrył twarz dłonią. Wolał tego nie widzieć.

Jakie zatem kroki podjęły mocarstwa zachodnie, by uratować miliony Żydów pedzonych pejcem i kolbą do komór gazowych? W wielkich stolicach zachodniego świata urządzano zebrania protestacyjne. Na te spotkania czołowe osobistość wysyłały depesze i telegramy. Składano też urzędowe zapewnienia, że karta się jeszcze odwróci i z całą pewnością będzie można uratować miliony nieszczęśliwych ofiar. Do-

**Dalszy ciąg na str. 4**



Przewidywania okazały się słuszne — Nixona przede wszystkim interesuje Europa. Zaledwie po 2 tygodniach prezydentury ogłosił on, że zamierza odbyć podróż do 5 krajów europejskich. Komentując tę decyzję „Les Echos” pisze, że Nixon „nie stracił czasu” i w tok „nagłej” dzisiejszej, jak polityka zagraniczna podjął szereg inicjatyw pierwszej wielkości”. Ze stolic, jakie odwiedzi: Brukseli, Londynu, Rzymu, Bonn i Paryża, najciekawsze rozmowy toczyć się będą z pewnością w dwóch ostatnich. Warto także zwrócić uwagę, że Nixon rozpocznie swą podróż od Brukseli, co jest kompromisem wobec nalegań zarówno Wilsona, jak i de Gaulle’a, aby to właśnie stolicę ich krajów były pierwszym celem wizyty. W tym miejscu trzeba przypomnieć, że po II wojnie światowej prezydenci amerykańscy zawsze w pierwszej kolejności odwiedzali W. Brytanię. Nawiazanie do tej tradycji mogłoby skomplikować sytuację Nixona w czasie rozmów z prezydentem de Gaulle’em, a będzie to przecież pierwsza od prawie 8 lat rozmowa przywódcy amerykańskiego z głową państwa francuskiego.

Wybór przez Nixona europejskiego kierunku swej inauguracyjnej prezydenckiej podróży dokonany został z dużym rozmysłem. Chodzi mu o ożywienie paktu atlantyckiego, który w okresie prezydentury Johnsona, w następstwie jego wietnamskiej polityki, zaczął się na dobre rozsypywać. Najwyraźniejszą tego ilustracją — wystąpienie Francji z militarnego struktury NATO.

Wizyty w pięciu krajach mają być pierwszym krokiem w kierunku „umocnienia i nadania nowego życia wspólnocie amerykańsko-europejskiej”.

Zadanie nie będzie łatwe. Pakt atlantycki powołany został do życia w 1949 roku, a jego spolem stał się straszak komunizmu. Kiedy Związek Radziecki swą polityką dał przekonujące dowody woli pokojowego współistnienia, a ożywił się musiło podważyć tezę o „komunistycznym niebezpieczeństwie” — w sojuszu zaczęły się pojawiać rysy. Pogłębiły je fakty ekonomiczne — zmniejszanie się zależności gospodarczej zachodniej Europy od USA. Reszty zaś dokonała johnsonowska polityka wobec Wietnamu.

Zrekonstruowanie paktu w jego pierwotnej formie nie jest w ogóle możliwe. Nixon nie liczy zresztą na to. Stawką jego polityki wobec zachodniej Europy ma być powstrzymanie dalszych procesów dezintegracyjnych. Chce on zapobiec możliwości, jaka od kwietnia otwiera się przed każdym państwem członkowskim — zapowiedzi wyczerpania się w ciągu roku z tej organizacji.

Powodzenie zabiegów Nixona uzależnione będzie głównie od stanowiska, jakie zajmie Francja.

W Paryżu prezydent Stanów Zjednoczonych za miarę także spotkać się z przewodniczącym delegacji amerykańskiej na rozmowy w sprawie Wietnamu — Cabot Lodge’em i przedyskutować z nim dotychczasowy przebieg spotkań. Oczekuje się, że Nixon przekaze delegacji USA instrukcje nowej administracji.

Stąd podwójne znaczenie wizyty paryskiej. A bońskie?

Tutaj Nixon, jeśli zamierza odzyskać zaufanie do USA europejskich partnerów, powinien w rozmowach z kanclerzem Kiesingerem położyć tamę zachodniomemieckim apetytom nuklearnym oraz nakłonić Bonn do podpisania układu o nierozpowszechnianiu tej broni.

Tymczasem Kiesinger oświadczył w parlamencie coś wręcz odwrotnego: NRF nie będzie się spieszyć ze złożeniem podpisu. W czasie wizyty Nixona — powiedział kanclerz — okaże się, czy „NRF może dojść do porozumienia (!?) ze Stanami Zjednoczonymi”.

W sumie podróż prezydenta USA zapowiada się ciekawie, ma mieć — według jego słów — roboczy, a nie protokolarny charakter i dostarczy zapewne wskazówek co do europejskich zamierzeń nowej administracji.

Wydarzeniem tygodnia było zapoczątkowanie intensywnych poszukiwań rozwiązania kryzysu bliskowschodniego. Listy sekretarza generalnego KPZR — Breżniewa i prezydenta Nixona do Na sera, a następnie konsultacje sekretarza generalnego NZ — U Thanta z przedstawicielami 4 mocarstw — są zapowiedzią nowego etapu rozstrzygnięć.

Jak na te przedsięwzięcia odpowiada Izrael? Nowymi prowokacjami militarnymi.

Następnego dnia po pierwszych spotkaniach konsultacyjnych U Thanta — spowodowano nowe starcia na linii przerwania ognia z Jordanią.

Zarówno ten fakt, jak też olicjalne wypowiedzi Tel Awiwu wskazują, że Izrael przeciwny jest pokojowym inicjatywom. Przedstawiciele rządu Izraela mętnie mówią o potrzebie poszukiwania rozwiązań na czterech frontach, a więc za pośrednictwem Jarringa, rokowań dwustronnych, rozmów czterech i długofalowego rozwoju gospodarczego. W takiej powodzi kanałów chcą utopić możliwość rychłego przywrócenia pokoju, zyskać na czasie, aby — tak zresztą, jak ma to miejsce obecnie — prowadzić na okupowanych ziemiach politykę faktów dokonanych.

W. SŁAWSKI

WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI

## Pozjazdowe refleksje

Obradom XVII Zjazdu delegatów Związku Literatów Polskich towarzyszyła refleksja szczególnego rodzaju. Uświadomiliśmy sobie w Bydgoszczy, że naszemu piarstwu stuknęło niemal dokładnie 25 lat w Polsce Ludowej. To właśnie czterdzieć wiecie usposabiali do wspomnień i jakiegoś głębszego spojrzenia na drogę, którą nasza literatura przeszła, w obrady, przemówienia, czy polemiki wkradła się wzruszająca niekiedy nutka czegoś osobistego, zwłaszcza u tych pisarzy, którzy nie urodzili się dopiero wczoraj. Ilek przecz, przygod, perypetii, a wszystkie charakteryzowały nie tylko osobę mówiącego, lecz właśnie niezwykły czas odradzania się polskiego życia literackiego i kulturalnego w wyzwolonym kraju.

Julian Przyboś przypomniał swoją podróż samolotem na trasie Lublin — Zamość. Wiózł do drukarni pierwsze w Polsce Ludowej tomiki poezji, słowo poety poszło pierwsze pomiędzy ludzi. Przyboś przypomniał także dwa fakty — oto przyszło mu wraz z innymi podpisywać dekret, czy też ustawa o powszechnych bibliotekach i akcji zwalczania analfabetyzmu. Były to przecież fakty o wielkim dla upowszechnienia czytelnictwa znaczeniu, dla pisarza, który bez czytelników istnieć nie może.

Przypomina mi się w tym miejscu dość znane powiedzenie Wacława Nałkowskiego sprzed siedemdziesięciu lat: Polska to Henryk Sienkiewicz i siedemdziesiąt procent analfabetów. Dzisiaj chciałoby się powiedzieć, że Polska Ludowa to także Henryk Sienkiewicz i miliony czytelników, wiernie towarzyszących pracy pisarza. Bywali u nas pisarze i bywali krytycy, są nawet jeszcze, którzy sądzą, że literaturę jej ideowo artystyczne cele

trzeba koniecznie importować, najlepiej z Zachodu, że tam trzeba się zapożyczać. Bywają i tacy, którzy sądzą, że nowinki, doraźne mody decydują o sensie literatury, nowinki obce, nie z tego kraju. Otóż ten właśnie nasz polski czytelnik, coraz bardziej wykształcony i wymagający przypominał na ostatnim zjeździe pisarzy w Bydgoszczy, jak bardzo ceni literaturę zaangażowaną w sprawy człowieka, wyrastającą z polskiej tradycji literackiej. Jest jedna tylko rzeka, która płynie środkiem naszego kraju — Wisła, a reszta to tylko dopływy. Jest jeden podstawowy i sprawdzający się w pokoleniach czytelniczy nurt literatury, poczęty jeszcze w czasach Kochanowskiego, wzbożony dopływami literatur z różnych stron świata.

Oczywiście, XVII Zjazd Delegatów ZLP nie był sejmem krytyków, czy wspominkarzy, odbył się przecież — jak wiadomo — w ostrej walce politycznej z opozycją, jaka się wytworzyła głównie w środowisku warszawskim. Spory natury ideowo-artystycznej są zawsze bardzo potrzebne, potrzebne są starcia, polemiki, dyskusja. Lecz opozycja wywiesiła sztandary ściśle polityczne, zmanifestowała swoją otwartą wrogość wobec Polski Ludowej i jej polityki kulturalnej. Właśnie dlatego delegaci na XVII Zjazd ZLP wprowadzili w atmosferze jedności i powagi szereg zmian w statucie Związku, wykluczyli obecność w organizacji pisarzy — wrogów, polityków, którzy chcieliby przekształcić ZLP w opozycyjną partię polityczną.

Rozsądek, szczerza troska o harmonijny rozwój literatury towarzyszyły obradom Zjazdu. Stąd też jego konkretny i bardzo konstruktywny charakter. Wydaje się, że obecnie, zwłaszcza po

ostatniej wizycie delegacji pisarzy u Premiera, cały szereg postulatów, istotnych dla rozwoju literatury, czy samej tylko pracy pisarza, zostanie zrealizowanych. Można już dziś powiedzieć, że będziemy mieli w kraju nowy miesięcznik poświęcony wyłącznie literaturze zagranicznej, a więc coś w rodzaju stałego przeglądu najciekawszych i najbardziej cennych osiągnięć pisarzy wszystkich kontynentów. Nie bez poważnych szans na realizację jest także postulat powołania pisma, poświęconego literaturze dla dzieci i młodzieży. Chodzi tu przecież o skierowanie uwagi na twórczość najbardziej związaną z wychowaniem młodych pokoleń. Jest także do rozwiązania sprawa pisma dla młodych pisarzy, którzy napływają falami do Związku Literatów Polskich, a pisma swojego nie mają, gdyż nasza, skądinąd bardzo zasłużona „Współczesność”, to bardzo już stępczy organ.

Myszę też, że więcej uwagi będzie można teraz poświęcić środowiskom literackim, które od lat działają w wielu miastach z rogatkami stolicy. W momentach dla ZLP trudnych ci właśnie pisarze, dalecy od stołecznej kawiarni i działający na rozmaitych odcinkach naszego życia kulturalnego, zawsze wykazywali dużą odwagę i dojrzałość. Ponad 250 pisarzy mieszka i pracuje na Ziemiach Zachodnich i Północnych, zaświadczać najlepiej o ich polskości, a przede wszystkim z czystym sumieniem powiedzieć, że można i należy jeszcze niejako uczynić, aby pozostałe środowiska piarskie mogły się lepiej rozwijać.

Zjazd rozważył również szereg spraw nury praktycznej.

Oto jedna z nich — sytuacja pisarza w Filmie Polskim. Rozumiemy, że Prus, Zeromski i inni nie mogą się bronić przed reżyserami. Chociaż — szczerze mówiąc — im nawet nasz reżyser — szkodzić nie może, gdyż są nieśmiertelni. Lecz pisarze żywi i czynni radzi by mieć unormowane stosunki z filmem, nie chcą po prostu być w sytuacji uboższego klienta, antyszabującego bogate salony FP, nie chcą też ulegać zbyt przesadnym preparacjom, zabiegom adaptacyjnym, po których film ma się tak do dzieła, jak przystoiowa pięść do nosa.

Istnieje także i będzie chyba zlikwidowana pewna dysproporcja między piarzem stołecznym a resztą, widoczna w sposób jaskrawy np. w radiu i telewizji. Byłaby zabawna, gdyby nie była przykra sytuacja tego rodzaju: kiedy pisarz dostarcza tekst — lepiej na nim zarabia wykonawca, a jeszcze lepiej reżyser. Tak to bywa w ośrodkach pozastołecznych. A przecież nie należy sądzić, że fryzjer z Poznania, czy Łodzi jest z góry gorszy, na skutek działania faktu natury geograficznej.

Lecz nie o szczegóły chodzi, każde środowisko posiada swoje ściśle profesyjne sprawy, które pragnie rozwiązać. Ma je i nasze.

XVII Zjazd delegatów ZLP miał z pewnością charakter przełomowy. Podkreślił w swojej uchwale ścisły związek literatury z jej najlepszymi tradycjami, z Polską Ludową, z socjalizmem. Po ostrej walce politycznej, pewnie jeszcze nie zakończonej, lecz już w zasadzie wygranej, wprowadził w szereg piarszy spokój, bez którego trudno mówić o normalnej pracy nad książką.

W następnym numerze „Odgłosów” czytacie między innymi:

- Kierunek — Afryka Zachodnia
- Wszystko o sercu
- Proces wampira
- Rozstrzygnięcie konkursu świątecznego

## LISTY do REDAKCJI

MY, STUDENCI!

Korzystając z Waszej uprzejmości i otwarcia dla nas — studentów — lamów tygodnika, chciałbym i ja na pisać kilka słów w odpowiedzi na list kol. Wojtowicza (Odgłosy nr 3/585) z dnia 26 I 69 r. — chyba pomyłka w numeracji).

Z racji swej funkcji bywam codziennie w lokalu Rady przy ul. Jaracza 7, gdzie mieszczą się także „Kontynenty”. Sytuację w tym klubie znam z pozycji postronnego obserwatora.

Nie mam zamiaru negować potrzeby istnienia tego klubu, ale sądzę, że przy obecnej formie działalności jego istnienie nie ma po prostu sensu. Działalność „Kontynentów” jest raczej uboga i rzeczywistość nie licuje z nazwą, bardzo szumną „Centrum Kulturalno-informacyjne Studentów Uniwersytetu Łódzkiego”. Jeśli ktoś przyjdzie w zwykły, powszedni dzień do „Kontynentów” aby uzyskać jakąś informację lub kulturalnie spędzić czas, to ręczę, że więcej do „Kontynentów” nie zajrzy na pewno, a do innych klubów — rzecz wątpliwa. Bo sobie pomyśli — niestety zresztą — że skoro w „Centrum” tak się dzieje, to co jest „na prowincji”?

Kol. Wojtowicz oburza się na kol. Walczak za jej artykuł w „Odgłosach” (nr 2 — 584 z dnia 12.I.69 r.). Nie dziwię się. Dziwię się tylko kol. Walczak, że napisała tak mało i w tak łagodnej formie. Zgoda, można mieć zastrzeżenia do niektórych jej uwag i oburzenie kol. Wojtowicza jest częściowo słuszne. Ale tylko częściowo. Rze oczywiście „Kontynenty” otwarte są codziennie w godzinach 12—20. Cóż jednak z tego, gdy świecą pustkami. W lokalu jest najnormalniej w świecie zimno. Brak opału, a poza tym jeden piec na tak duże pomieszczenie nigdy nie wystarczy. Wydaje mi się, że takie warunki nikomu nie zachęca do przyścia, nie mówiąc już o posiedzeniu kilku godzin na spotkaniu czy dyskusji.

Próby „STU-u” Zgoda, od bywać się muszą, lokal „Kontynentów” jest do tego naj

odpowiedniejszy. Ale czemu kierownik teatru w niezbyt delikatny sposób wyprasa wszystkich przypadkowych gości z klubu i zamyka wszystkie drzwi? Ci, którzy muszą w tym czasie pracować w Radzie, są po prostu odcięci nawet od WC. A jeśli już mowa o tym przybytku, to jego stan sanitarny przedstawił bardzo wiele do życzenia. Jedną z przyczyn — częsty brak światła w tym pomieszczeniu!

Od półtora roku codziennie kilka razy wchodzi do „Kontynentów”, ale nigdy nie wdziałem, aby ktokolwiek sprządał komukolwiek legitymację studencką. O karnech klubowych swego czasu coś się mówiło, ale sprawa ucichła.

Piszę te słowa powodowany nie przez złośliwość czy jakąś osobistą urazę. Dyktuje mi je mi je szczerza życzliwość.

Jacek K. Ciesielski

NAGRODY WRN W ŁODZI

Sekretariat Komisji Nagród Wojewódzkiej Rady Narodowej w Łodzi uprzejmie prosi o zamieszczenie następującego komunikatu:

Wojewódzka Rada Narodowa w Łodzi przyznaje corocznie cztery nagrody za wy-

bitne osiągnięcia w województwie łódzkim w dziedzinach:

1. za społeczną działalność kulturalno-oświatową,
2. za upowszechnianie twórczości ludowej,
3. za upowszechnianie sztuki w dziedzinie teatru, filmu, literatury, publicystyki, muzyki i plastyki,
4. za wybitne osiągnięcia w dziedzinie techniki racjonalizacji i wynalazczości.

Pisemne wnioski o przyznanie nagrody mogą składać naczelnicy wojewódzkie organa administracji państwowej. Komisje WRN, zarządy główne i wojewódzkie związków zawodowych, stowarzyszenia twórców oraz organizacje społeczno-kulturalne, wyższe uczelnie, placówki naukowo-techniczne, instytucje naukowe oraz dyrekcje zakładów pracy i prezydium powiatowych — miejskich rad narodowych,

Wnioski należy kierować do Sekretariatu Komisji Nagród Wojewódzkiej Rady Narodowej, mieszczącego się w Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej Wydział Kultury w Łodzi ul. Ogrodowa nr 15, pokój 140, do dnia 15 marca 1969 r.

## KONRAD FREJDLICH

Od pewnego czasu przez szklane okienka telewizorów nawiedza nasze domy osobistość nr 1 wszystkich sąsiedzkich pogwarek, Hans Kloss, ostatnio awansowany na Hauptmanna. Od pewnego też czasu w każdy czwartek, piątek i niedzielę, aluzyjnie, w sposób całkowicie niezamierzony choć wytrwale, w telewizji kwestionuje się słowa, jakie pod adresem sił zbrojnych III Rzeszy, wypowiedział na procesie norymberskim prokurator Stanów Zjednoczonych, generał Telford Taylor. Przemówienie to, jak mam prawo domniemywać po niedawnych, smutnych doświadczeniach z „Pucharem Politykusa” nie jest pewnie zbyt dobrze znane u nas w narodzie, toteż pozwolę je sobie przytoczyć. Otóż Taylor oświadczył w Norymberdze, że Wehrmacht, zbrojne ramię hitlerowskich najeźdźców, zadał ludzkości „cios tak dziki i podły, że przez długie lata będzie się wzdragać sumienie świata. To nie była wojna, to była zbrodnia. To nie była żołnierka, to było zdziwienie”.

Może ktoś na to powiedzieć, że Taylor jest Amerykaninem, Amerykanie zaś sami prowadzą odrażającą wojnę w Wietnamie, wątpliwe jednak czy to dostateczny powód, aby ulubienca milionów przebierać w mundur zniechęconej powszechnie formacji. Ryzykowność tego pomysłu słusznie podniosł niedawno w „Kulturze” Krzysztof Teodor Toeplitz. Dzięki Klossowi przecież, choć pamiętamy nieustannie, że to „nasz człowiek”, osławiamy się powoli z osławionymi niemieckimi „wronami”, osławiamy się też ze swastyką i wcale nie będą zdziwiony, gdy pewnego dnia dzieci na podwórku wcielają się w postać telewizyjnego bohatera, przypną sobie hitlerowskie insygnia do szkolnych beretów i czapek, jak wcześniej malowały na parkanach słowo „Zorro” i szalały za odznakami z Szarikiem. Co przystoi bohaterowi telewizyjnego sezonu nie może być przecież uzbrojone dzieciom, które z pierwszymi podmuchami wiosny też pewnie zechcą prac Niemców „od wewnątrz”. Zwłaszcza, że przy aparycji Mikulskiego, mundur niemieckiego oficera okazuje się być całkiem fotogeniczny. Poprzez osobę Klossa mundur ten przestaje wzbudzać odrazę, nasze sumienie przestaje wzdragać się na jego widok. Nie zamierzam posądzać autorów serialu o podobne zamiary, ale mimo woli uniformowi „feldgrau” odbierają swoim filmem całe piętno grozy i ohady.

Nie jest to, niestety, jedyna moja pretensja do projekcji „Stawki większej niż życie”. Pomijając tutaj wszystkie niekonsekwencje i naiwności fabuły, bo orientuję się, że sensacyjny film ma swoje własne prawa, nie zawsze w zgodzie ze zdrowym rozsądkiem. Chociaż nadużywanie tych praw przynależnych sensacji może prowadzić także do niezamierzonych, pragnę to podkreślić, ale ważkich konsekwencji politycznych. Łatwość z jaką Hans Kloss wykonuje wszystkie swoje zadania zlecane mu przez centralę i to przy minimalnym wysiłku, niemal bez przeszkód, czy to chodzi o zagadnienie wywiadu czy też o akty sabotażu, pozwala nam wysnuć wniosek, że ma wokół siebie absolutnych frajerów, czy też, jak to powiada mój syn, głupców skończonych. Głupcy zaś mogą być oczywiście źli, są jednak przede wszystkim śmieszni. Aż dziw, że ci frajerscy głupcy wynaleźli komory gazowe i obozy koncentracyjne, że stworzyli na okupowanych przez siebie terenach precyzyjny aparat terroru, eksterminacji, ludobójstwa. Ludzie, którzy są śmieszni, są po prostu śmieszni. Nie mogą więc już wzbudzać odrazy, ohady i grozy. Mój syn ilekroć na ekranie po-

Jawia się ubrany w czarny mundur kumpel Klossa, esesmann Brunner, wybucha głośnym śmiechem, bo wie, że dzielny Hans za chwilę się z nim rozprawi, da mu szkołę. Brunner zresztą jest jedną z postaci wyraźniej zarysowanych na telewizyjnym ekranie: wiemy na ogół, co o nim sądzić, wiedzą nawet dzieci. Brunner to po prostu zawodowy morderca, popełniający zbrodnie na użytek III Rzeszy równie chętnie jak na swój własny rachunek i tylko dziwić się można, że go Hans pomimo swych nieograniczonych możliwości nie likwiduje, a nawet bez szczególnej odrazy podaje mu rękę. Widocznie ma w tym swój własny cel.

O ile więc Brunner odpowiada powszechnym wyobrażeniom o esesmanach, o tyle

Istnieje właściwie tylko po to, aby się dać wodzić za nos organizacjom podziemnym, przy czym klucz do wszystkiego tkwi w rękach Hansa Klossa. Żołnierze ci są bardzo bezradni, zagubieni, z ich oczu wylewa poczucie niemożności, prawie szwejkowskie spojrzenie. Przypomnijmy sobie choćby z jaką szwejkowską pobłażliwością ordynans naszego asa kontrwywiadu nosi bez przerwy do naprawy budzik, w którym, o czym my wiemy, znajdują się grypsy Klossa do partyzantów. Przyszłoby jednak, że Szwejk opakowany w mundur Wehrmachtu budzi mój zdecydowany sprzeciw. Nie dlatego zresztą abym w tę mistyfikację uwierzył ani też nie dlatego, abym się obawiał, że uwierzy w nią ktoś, kto mundur Wehrmachtu oglądał na własne oczy; kto widział wywieszony przez okupanta na mu-

— Wehrmacht oraz związana z nim nieodłączna Abwehra, w której właśnie służy Hans Kloss, z punktu widzenia moralnego prezentuje się niezwykle korzystnie. Nie można tego oczywiście nazwać próbą rehabilitacji Wehrmachtu, chociaż niesłusznie całe odium za zbrodnie spada tylko na SS. Warto w związku z tym przypomnieć, co podaje w swoich dwóch książkach Szymon Datner, historyk, który całe swoje życie poświęcił demaskowaniu zbrodni Wehrmachtu, że ta „rycerska” armia, jak się ją dziś chętnie przedstawia w NRF, dokonała mordu na trzech milionach jeńców wojennych. Przypomnijmy także, że „rycerska” armia niemiecka w pierwszych dwóch miesiącach okupacji, a więc już po zakończeniu działań wojennych spaliła w naszym kraju 55 miast i 476 wsi. W tych barbarzyńskich akcjach wkraczających oddziałów Wehrmachtu szczególne miejsce zajmuje województwo łódzkie. Niemcy podpalił tutaj 16 miast i 201 wsi. Sporo mogą na ten temat powiedzieć starsi mieszkańcy Jeżowa, Szczercowa, Widawy, Uniejowa, Bełchatowa, Kamińska, Złoczewa czy Działoszyna. Nie wspominam tu już o bestialskich bombardowaniach Luftwaffe dokonywanych z powietrza. Wystarczająco wiele dokonali „rycerscy piechurzy”. Ot, choćby w niewielkim przecięt Złoczewie, gdzie 3 i 4 września 1939 r. rozstrzelali około 200 obywateli polskich, pod miasto zaś podłożyli ogień i spalili je w 80 procentach.

Może ktoś na to powiedzieć, że Kloss formalnie przynależy do Abwehry, a to przecież co innego, poza tym zaś, to przecież „nasz człowiek”. W bezpośredniej konfrontacji z Brunnerem, podczas sceny przesłuchiwania więźnia, Kloss oświadcza nawet, że „my w Abwehrze pracujemy innymi metodami”. Mając bezgraniczne zaufanie do wszystkiego, co mówi Kloss, mój syn powtarza mi od tej pory, że Abwehra była inna.

Nie mam zamiaru wdawać się w długie wywody jak narodził się mit tej „odmienności”, przypominać okoliczności śmierci admirała Wilhelma Canarisa ani też powoływać się na nieśmiały jego sprzeciw wobec Keitla w związku z tym, jak Niemcy traktowali jeńców wojennych. Zbyt chętnie wierzymy w dobrą wolę szefa Abwehry, kiedy napisał do dowódcy Oberkommando der Wehrmacht, że „zabijanie lub ranienie bezbronnych ludzi stoi w sprzeczności z pojęciami wojskowymi”. Wilhelm Canaris, jako junkier, gardził zapewne parweniuszem Hitlerem, służył mu jednak wiernie jak cały militarizm pruski. Był takim samym zbrodniarzem wojennym jak inni sztabowcy Reichsführera. Aby nie być gołosłownym przypomnę, że to Abwehra właśnie maczała palce w prowokacji gliwickiej, która posłużyła Niemcom jako pretekst do napaści na Polskę. Abwehra odpowiedzialna jest także bezpośrednio za zbrodniczą akcję znaną jako „Brandenburg 800”.

Jeśli nie będziemy o tych sprawach pamiętać, jeśli przymkniemy na niektóre z nich oczy, wyrządzimy ogromną krzywdę naszej młodszej generacji. Podkreślam to raz jeszcze, nie zamierzam tutaj autorem serii „Stawka większa niż życie” imputować jakichkolwiek niecznych zamiarów, a tylko konstatuję ze smutkiem, że sensacyjny, zdeforowany obraz rzeczywistości okupacyjnej w filmie, pomimo że pamiętamy, iż przebrany w niemiecki mundur Hans Kloss to „nasz człowiek”, nie nam obiektywnie służy. W wersji teatralnej, w ciasnych warunkach studyjnych, uproszczenia te nie pociągały za sobą tak poważnych skutków, nie były tak wyraziste. Nasze wrażenia z odbioru skłonili byśmy przypisywać jakimś niedociągnięciem technicznym, zwalczając je na pracę aparatury, na improwizację, pośpiech. Filmowa wersja nie tylko obnażyła słabości pierwszej, ale jeszcze pogłębiła je. To wszystko sprawia, że nie bez obawy przypatruję się jak mój syn w każdą niedzielę skoro świt włącza telewizor i z niecierpliwością oczekuje dźwiękowej zapowiedzi „Stawki większej niż życie”.

Sprawę Hansa Klossa poddaję pod rozważenie publiczną.

## SPRAWA HANSA KLOSSA



niezbyt wiele możemy na podstawie „Stawki” powiedzieć o innych umundurowanych Niemcach z telewizyjnego ekranu. Poza tym, że wszyscy oni są w jakiś tam sposób uwikłani w tę straszną wojnę. Często zresztą nieszczęśliwie. Padają ofiarą totalnego systemu częściej chyba nawet niż działacze antyhitlerowskiego podziemia. To zmuszeni są popełnić samobójstwo, to znów są rozstrzeliwani, jak ów Kahlert, dla którego na próżno poświęca się rozkochana do szaleństwa Simone, Francuzka, przedstawicielka pobitego narodu. Jej miłość do niemieckiego oficera jest wzniosła i czysta, autorem „Stawki” zależy, zdaje się, abyśmy się tym wyjątkiem romansowym wzruszyli. Robią to tak gorąco, że wrzucamy się naprawdę, chociaż w czasie wojny dziewczynę, która puszczała się z Niemcami, podziemie po prostu strzygło, bo wdawanie się w romanse z okupantami uważane było, nie bez słuszności, za zdradę.

Oprócz tych przekonywujących dowodów zbrodni, jakich hitlerzyzm dopuszczał się wobec własnych oficerów, oprócz więc cierpień i dolegliwości, którym poddawani byli Niemcy w mundurach przez Niemców w mundurach, film operuje przede wszystkim stereotypem anonimatu. Jeśli żołnierz Wehrmachtu nie staje się ofiarą hitleryzmu to na ogół w „Stawce” nosi podobnie jak Kloss czapkę z „wroną”, przesiaduje po restauracjach albo jeździ na motocyklu,

rach polskich miast afiszę o rozstrzelaniu zakładników; kto krył się po strychach i bramach przed budą ulicznej łapanki; kto przeżył chociaż jeden nalot Luftwaffe,

Kto wszystko to zna z własnych, okupacyjnych przeżyć, jest na tę mistyfikację całkowicie odporny. Rzecz jednak w tym, że ogromny procent odbiorców „Stawki większej niż życie” to młodzież i dzieci, ludzie, którzy na szczęście dla nich, urodzili się już po wojnie. Dla nich telewizyjny film jest encyklopedią wiedzy o okupowanej Europie, traktują cały zawarty tam bałamutny materiał informacyjny z powagą właściwą swemu wiekowi. Bez cienia krytycyzmu, z bezgraniczną ufnością wierzą bohaterstwu Hansowi,

W „Stawce” jest zresztą haczyk zastawiony także na mniej wyrobionego politycznie dorosłego odbiorcę tej serii. Jak wspomnieliśmy już wcześniej film na ogół szkicuje tylko postaci Niemców, częściej bowiem stosuje się zasadę anonimatu. Wyjątek robi się tylko dla koloru mundurów. Do mundurów czarnego, esesmańskiego przywiązane są wszystkie szwarccharaktery pokroju Brunnera. Podobne prawidła postępowania obowiązują w stosunku do gestapo. Wehrmacht potraktowany jest o wiele łaskawiej i wiemy, że to Wehrmacht. Wzajemne pretensje pomiędzy poszczególnymi formacjami hitlerowskiej armii są podkreślane bardzo często, i na tle SS i gestapo

tek licencyjnych „polsilver” w Łódzkich Zakładach Metalowych.

Ale to tylko część listy. Bo można by jeszcze wpisać tutaj wnoszoną od podławy „gumówkę” i zakłady Strzelczyka, można wymienić nowy ciąg produkcyjny „Anilany”, rozbudowę zakładów kserotechnicznych, a i tak rejestrowi temu daleko do wyczerpania.

A przecież słuszność polityki partii sprawa się w naszym mieście nie tylko na odcinku inwestycyjnym i gospodarczym gdzie dopracowaliśmy się kompleksowego planu rozwoju. Stałym wysiłkiem łódzkiej instancji partyjnej zawdzięcza nasze miasto także swoją rangę poważnego ośrodka kultury i nauki, jednego z najważniejszych w Polsce.

Łódź akademicka, Łódź — miasto wyższych uczelni to tyle samo, co nowa rzeczywistość społeczna, dzięki której nauka wkroczyła do robotniczego miasta. Ma ona w dalszym ciągu priorytet, spotyka się ze zrozumieniem i poparciem, bo dalszy rozwój gospodarki jest w dużym stopniu uzależniony od przyrostu kadr specjalistów z dyplomem wyższej uczelni. Jest tu miejsce

dla inżyniera i humanisty, dla każdego, kto swoim zaangażowaniem w pracę pogłębia socjalistyczny kształt naszego kraju i naszego miasta.

Jest przecież Łódź także potężnym ośrodkiem życia artystycznego, siedzibą licznych środowisk twórczych, posiada własnych pisarzy i plastyków, aktorów i reżyserów. Ich obecność, dzięki rozbudowie bażytkulturalnej, coraz wyraźniej zaznacza się w życiu miasta. Nie jest to w końcu sama tylko obecność, są to nowe, wartościowe książki i docieranie z nimi poprzez sieć domów kultury, świetlic i bibliotek do środowisk produkcyjnych. Są to nowe obrazy, rzeźby, grafika ekspozowane i popularyzowane w naszym mieście. Są to ciekawe realizacje teatralne i filmowe powstałe na rodzimym, łódzkim bruku. I nie będzie żadnej przesady w stwierdzeniu jeśli powiem, że tej owocnej działalności artystycznej towarzyszy wzrost aktywności społecznej łódzkich twórców, że są to dwie uzupełniające się strony frontu walki o wyraz socjalistycznej kultury. Kultury, która oddaje patos naszych wysiłków i ich codzienność, która służy ludziom pracy, która niesie nadzieję.

Oto miejsce, w którym znajdujemy się dzisiaj, teraz, bogatsi w doświadczenia dwóch minionych lat, bogatsi o to wszystko, co nam nieustannie przynosi socjalizm. Socjalizm w kształcie nadanym mu przez partię, przez naszą partię. Socjalizm, którym daliśmy odpór reakcyjnej demagogii w okresie gorących dni wydarzeń marcowych, bo wielki i niepodważalny jest nasz dorobek gospodarczy i socjalno-bytowy, naukowy i kulturalny. Z tej jointly sił partia nasza nie tylko wyszła zwycięsko, ale umocniła się i okrzepła. Mogliśmy dać ten zdecydowany odpór dzięki jednoci ideologicznej i zwartości organizacyjnej partyjnych szeregów.

Rozpoczyna swoje obrady XIV Łódzka Konferencja Sprawozdawczo-Wyborcza, która dokona bilansu naszych dokonań w dwóch ostatnich latach i nakreśli dalsze kierunki rozwoju miasta, wypracuje program, który realizować będziemy jutro konkretyzując uchwały V Zjazdu.

Owocnych obrad, towarzysze.

JERZY DARNAL

str. 3

Teraz  
i jutro

Dalszy ciąg ze str. 1

lista obiektów, o które wzbogaciła się Łódź, jest wcale nie taka mała. Znajdziemy na niej zakłady „Famed” produkujące nowoczesne aparaty medyczne; nową, imponującą halę montażową zakładów radiowych; zakłady artykułów technicznych „Artech”; wreszcie oddział produkcji żyła

# ZACHÓD WIEDZIAŁ I MILCZAŁ

Dalszy ciąg ze str. 1

brze chyba będzie przypomnieć choćby kilka uroczystych oświadczeń najwybitniejszych wówczas mężów stanu. Odczytano je na olbrzymim wiecu protestacyjnym, jaki odbył się 21 czerwca 1942 roku w Nowym Jorku.

Prezydent Stanów Zjednoczonych, Roosevelt, przesłał następującą depezę organizatorom wiecu:

„Drogi doktorze Wise,

Wszyscy Amerykanie, którzy miłują idee społecznej sprawiedliwości i nienawidzą ucisku, pozdrawiają wielki miting w Madison Square Garden jako wyraz determinacji narodu żydowskiego do poniesienia

wszelkich ofiar, jakie okażą się konieczne, dla powalenia mocarstw Osi. Wszyscy oby wale nasi państwa niezależnie od religii i przekonań są wspólnie z naszymi obywatelami narodowości żydowskiej pogrążeni w smutku i wyrażają obawy o los bezbronnego ofiary hitlerowskiego barbarzyństwa. Hitlerowcom nie udało się jednak zgładzić nieszczęsnych, uwięzionych ludzi, tak jak im nie udało się zniewolić ludzkości. Amerykański naród wyraża nie tylko uczucia sympatii i poparcia dla wszystkich ofiar hitlerowskich zbrodni, ale daje też wyraz przekonaniu, że pewnego dnia zostaną pociągnięci do odpowiedzialności wszyscy, którzy za te zbrodnie ponoszą odpowiedzialność...”

Z poważaniem  
FRANKLIN DELANO ROOSEVELT

Teraz jeszcze wyjątek z listu premiera Wielkiej Brytanii Winstona Churchilla przesłanego na ręce organizatorów wiecu w Nowym Jorku.

„Zebrałście się, aby potępić zbrodnie reżimu hitlerowskiego w Europie. My, ze swej strony, witamy z uznaniem wysiłek skupisk żydowskich na całym świecie, zwłaszcza Żydów w Palestynie, podjęty dla wspólnej sprawy Narodów Zjednoczonych. Już przeszło 10 tysięcy Żydów służy w brytyjskich formacjach na Bliskim Wschodzie, blisko 20 tysięcy znajduje się w oddziałach policyjnych i porządkowych. Wielka Brytania uczyniła wszystko, co leżało w jej mocy, aby w czarnych dniach

1940 roku wywiązać się w pełni z obowiązku w krajach Bliskiego Wschodu. Jesteśmy przekonani, że żydowska ludność Palestyny przeciwstawi się ze wszystkich sił barbarzyństwu hitlerowskich Niemiec, które potępiać na dzisiejszym wiecu.”

WINSTON CHURCHILL

Czy warto to pismo komentować?

Jego treść jest przejrzyście. Wzwanie o pomoc, błaganie o zdecydowane działania dla uratowania choćby części Żydów załatwiono gładkimi zwrotami. Churchill dał nawet niedwuznacznie do zrozumienia, że bardziej go obchodzi interesy brytyjskie na Bliskim Wschodzie niż los Żydów w obozach koncentracyjnych. Społeczność żydowska w Stanach, wpływała przecież i zamożna, chwyciła się jeszcze jednego środka o parlamentarnym raczej charakterze. 8 grudnia 1942 roku grono wybitnych działaczy z prezydentem Żydowskiego Komitetu w Stanach Zjednoczonych Wertheimem i prezydentem Żydowskiego Kongresu Wise'm wystosowało do Roosevelta rozpaczyliwy memoriał.

Wyjątki z tego memoriału:

„W ciągu ostatnich miesięcy informacje o masowych morderstwach w krajach okupowanych przez armie Hitlera zostały zwięźliwie rytykowane. Wszystkie potwierdziły się. Zamordowano już prawie dwa miliony żydowskich mężczyzn, kobiet i dzieci. Prawie 5 milionów Żydów czeka podobny los. Zbrodnia jest tak potworna, że nie ma precedensu w dziejach ludzkości. Dziś, w godzinie troski i rozpaczliwych zwracamy się do Pana, Panie prezydencie z gorącą prośbą. Jest Pan dla nas symbolem tych sił, które walczą o wolność. Pana głos odezwał się, gdy cała ludzkość została wstrząśnięta zbrodnią w Lidice. To Pan rzucił ostrzeżenie pod adresem zbrodniarzy, którzy wprowadzali na rozstrzelanie setki niewinnych, francuskich zakładników. Prosimy teraz, Panie prezydencie, aby znów Pan przemówił, tym razem w obronie Żydów w Europie. Prosimy Pana, aby Pan ostrzegł zbrodniarzy, że ani jedno morderstwo nie ujdzie im bezkarnie. Błagamy Pana, aby użył Pan wszelkich możliwych środków i przestrzegł ludność państw Osi przed uczestnictwem w monstrualnych zbrodniach swych wodzów i przywódców. Mam nadzieję, że Pan przemówi, wierzymy, że Pana słowa zasieją ziarno lęku w sercach naszych wrogów i wzbudzą nadzieję w duszach ofiar hitlerowskiej opresji. Jeszcze raz apelujemy do Pana, Panie prezydencie, niech Pan przemówi...”

Ten wstrząsający apel podpisali prócz Wertheima i Wise'a, również rabi Rosenberg, Monsky i wielu innych, najwybitniejszych przywódców świeckich i religijnych organizacji żydowskich w Stanach Zjednoczonych. Zapyta teraz kto, no i co, czym się to wszystko skończyło? Tym, czym się zaczęło. Skończyło się na słownych deklaracjach. Nawet bogata i jakże wpływała społeczność Żydów amerykańskich ograniczyła w gruncie rzeczy swą akcję do składania memorandum i głośnych protestów. Nie zdecydowano się nigdy na bardziej zdecydowane kroki.

Prawda, Eden udał się w końcu do Stanów Zjednoczonych na konsultacje. Prowadzono je poufnie przez cały niemal 1943 rok na najwyższym szczeblu. Sekretarz Stanu Cordell Hull nalegał, by Wielka Brytania użyła chociażby części swych środków dla uratowania kilku milionów Żydów

przed niechybną zagładą. Eden, gracz wytrawny i doświadczony, kluczył, lawirował, zwłoczył, uchylał się jak tylko mógł od podjęcia jakichkolwiek wiążących decyzji. Rząd Stanów Zjednoczonych sugerował, by Anglia otworzyła bramy swego imperium dla Żydów ze wschodniej i środkowej Europy. Eden postawił w końcu stanowcze veto. Nie, to absolutnie nie wchodzi w rachubę. Wielka Brytania ze względu na skomplikowany układ stosunków wewnątrzimperialnych na takie rozwiązanie pójsć nie może.

Wreszcie cała ta sprawa ucichła. Odłożono ją na potem.

Problem został jeszcze raz podjęty w ciekawej książce pt. — „The Black Book of Polish Jewry” — w Czarnej Księdze Polskiej Żydostwa, jaka ukazała się pod koniec 1943 roku w Nowym Jorku. W tym bogato udokumentowanym dziele można przeczytać takie oto znamienne stwierdzenie:

„Żydzi w Polsce od pierwszej chwili zdawali sobie sprawę z grozy położenia. Są dowody, że wiedzieli, iż ich sytuacja jest tragiczna i dlatego gorączkowo szukali drogi wyjścia. Niestety, tego wyjścia w zaistniałych wówczas warunkach getta znać się nie dało. A świat pozostał głuchy i ślepy...”

Święte słowa.

Świat pozostał ślepy i głuchy. Choć ten świat był już wówczas uzbrojony po zęby i dysponował nieograniczonymi funduszami.

Proponowano, by rządy mocarstw zachodnich zdecydowały się chociażby na zbombardowanie z powietrza komór gazowych i stacji przeładunkowych przy obozach koncentracyjnych. Udany nalot mógłby zahamować eksterminację więźniów na kilka miesięcy. A każdy miesiąc rozstrzygał wówczas o życiu setek tysięcy ludzi. Mocarstwa zachodnie odrzuciły nawet tę sugestię. Z całą tą sprawą nikt nie chciał mieć nic wspólnego i kto tylko mógł umywał publicznie ręce. Nawet Szwajcaria zatrzasnęła granice swego państwa przed żydowskimi uciekinierami. We wrześniu 1942 roku rząd szwajcarski opublikował oficjalne oświadczenie, że odtąd nie będzie chronił na swym terytorium ludzi... „którzy zbiegli z Trzeciej Rzeszy do Szwajcarii ze względów rasowych, dla przykładu Żydów”. Wyjątek miał być uczyniony jedynie dla zbiegłych jeńców wojennych. Koniec, kropka. Nawet wielce demokratyczna Szwajcaria nie zechciała przyjmować u siebie uciekinierów żydowskiego pochodzenia. Jakiego wymiaru nabiera wobec tego bohaterstwo i szlachetność tych polskich rodzin, które z narażeniem życia przechowywały tysiące Żydów, na nic nie bacząc i niczego w zamian nie żądając.

Zestawmy te fakty ze sobą i na zimno, spokojnie zastanówmy się nad nimi.

Świat pozostał ślepy i głuchy. Pozostał „mute and blind”, jak napisali dosłownie autorzy „Czarnej Księgi Żydostwa Polskiego”, wydanej w Nowym Jorku.

Więc czasem jednak warto poszperać w archiwach, zdjąć dokumenty z biblioteczek, odkurzyć i przeczytać. Są pouczające. Zdzierają niejedną maskę z największych nawet mężów stanu, którzy daleko nie we wszystkich swych poczynaniach byli... wielcy naprawdę.

JAN BABIŃSKI



Benon Liberski:

„OCZEKIWANIE”,

(olej).

JERZY URBANKIEWICZ

## Czym pachnie polski duch?

Jak doniósł przed laty „Dziennik Łódzki” — „w środę (12 marca 1887 roku) wszystkie dzieci pracujące w jednej z tułejczych przędzalni przy selfaktorach nie stawili się do pracy, lecz poszły sobie razem na spacer, ponieważ sprzyjała pogoda. Skutkiem tego odnośny dział fabryki stał przez cały dzień beczynny”. Łatwo sobie wyobrazić gromadkę obdarzonych maluchów, które idą długą, błotnistą ulicą, głęboko przekonane, że im, w ich wieku przysługujące prawo obcowania z przyrodą. Łatwo też sobie wyobrazić bolesny finał podobnej wycieczki. Były to lata, kiedy przy życiu pozostawało około 20 procent urodzonych w Łodzi niemowląt, a na większość z nich czekały gotowe miejsca przy selfaktorach.

Na takim tle pojawiały się zapomniane dziś postacie ludzi, podejmujących samodzielną działalność pedagogiczną, która była nieodłączna od walki o przełamanie przesądów, o dusze tych dzieci, o prawo wychowania ich w polskości. Należała do takich nauczycielka Julia Zbijewska.

W Bibliotece Rejonowej nr 18, mieszczącej się na Radogoszczu, przy ul. Słonecznej 10 oglądałem świadectwo szkolne wystawione Zbijewskiej przez Gimnazjum

Zęskie w Piotrkowie. Upstrzone ornamentami, tchnie zaborem i starością ale i zdumiewa wysokimi ocenami, jakie rosyjscy nauczyciele dali tej Polce, córce zesłanych na Sybir powstańców. Owo gimnazjum chlubnie ukończyła w roku 1890 i została nauczycielką w „pierwszej łódzkiej pensji pani Eugenii Schmidt”. W bibliotece na Słonecznej twierdzą, że Eugenii Schmidt, choć w latach osiemdziesiątych ogłaszała się w „Dzienniku Łódzkim” niejaka Teofila Schmidt, właścicielka tzw. „wyższej pensji”. Pensja ta — w każdym razie w latach wcześniejszych niż Zbijewska spożyła pierwszy kęs nauczycielskiego chleba — nie miała najlepszej opinii w społeczeństwie, skoro w jednej polskiej gazecie wychodzącej wówczas w Łodzi ukazało się podpisane przez Dyrekcję Naukową demotywacji następującej treści: „Pomiedzy uczen nicami nie panowały żadne choroby zaraziwe, dzieci uczęszczające do tej szkoły są zdrowe i wyglądają wesoło. Pani Schmidt wraz z nauczycielkami ciągle zwraca baczną uwagę na zdrowie i moralność swoich uczennic”. Podkreśliam że mowa tu o r. 1866, tj. o okresie o cztery lata wcześniejszym niż Zbijewska pojawiła się z dziennikiem w ręku na lekcji matematyki w „wyższej pensji” pani Schmidt. Oczywiście językiem wykładowym w tej szkole był rosyjski, „Boże Caria chrań!” dziecięce głosy śpiewały codziennie, śpiewały mechanicznie, nie troszcząc się o los brodatego władcy z portretu. A w wyobraźni nauczycielki znieprawiony hymn wywoływał obraz rodzinnego domu w Opoczynie skiem i rodziców, których nie znała. Z owego domu zostały jakieś pieniądze przekazane jej czy to przez siostrę, Bronisławę Wolską, czy przez nieznaną nam z nazwiska ciotkę. I właśnie te pieniądze stanowiły tło dla marzeń Zbijewskiej o szkole polskiej. Rozpoczęła starania, które należało poprzeć grubym plikiem dokumentów

stwierdzających kwalifikacje zawodowe, lojalność i moralność a należało też wiedzieć, jak wielkiej łapówki wymagał w załączeniu każdy dokument i w jaki sposób należało ją wręczyć. Pod tymi względami wszyscy musieli być w jak najlepszym porządku, skoro w sierpniu 1901 roku, a więc na cztery lata przed rewolucją Julia Zbijewska otrzymała zezwolenie na otwarcie średniej szkoły prywatnej z językiem polskim. Mieściła się ona przy ulicy Długiej, czyli dzisiejszej Gdańskiej 10. Mało kto wie, jak bardzo ta stara, nieciekawca czynszówka zrosła się z historią Łodzi. Stoi na rogu Gdańskiej i dawnej Konstantynowskiej i przez dziesiątki lat była niemy świadkiem tego, co działo się w sąsiedztwie, na innym rogu, w więzieniu, tym, w którym dziś Muzeum Rewolucji. Z dachu tego domu chłopcy z rodzinnych domów patrzyli na egzekucje na podwórzu więziennym, zyskując w ten sposób dodatkową edukację w przedmiocie dziejów własnego kraju. A podwórze to było też widoczne z okien pensji. Ze zaś była to — może jedyna, na pewno jedna z nielicznych w Łodzi szkół, w których nieoficjalnie uczono historii Polski, trudno sobie wyobrazić lekcję bardziej pogładową niż lekcje w szkole Zbijewskiej.

Wśród skromnej po niej spuścizny jest parę zaledwie jej osobistych wspomnień, wydanych drukiem w broszurce przeznaczonej dla harcerek. Oto jedno z nich dotyczące historii Polski jako przedmiotu nauczania w szkole.

„Naczelnik dykcji naukowej, nałogowy pijak, podobno niezły człowiek, bo przez niego nie zamknięto żadnej szkoły, podczas pewnej wizytacji wpadł do klasy w kaloszach i futrze, w czapce rozsiadł się w krzesle i zaczął ryczeć po rosyjsku: — Tu duch polski pachnie!

— A jak pachnie polski duch? — zapytuję. — Bo rosyjski pachnie dzlegciem.



Z BLIŻSZYCH  
I DALSZYCH STRON

STANISŁAW  
KASZYŃSKI

## NOTATNIK Wiedeński

23 XI

Lot — wspaniały. Z pochmurnego obszaru w słońce, wprowadzie dość niemrawe, listopadowe, lecz przecież skrzydła połyskują w promieniach aż oczy trzeba mrużyć. Dołem ulatuje Polska, z rzadka tylko widoczna przez postrzępione chmury. W oddali Tatry, groźne, stożki ostygłe, śniade jak na obrazach Poulaina, potem stewardessa zapowiada Bratysławę, po kilku minutach — światła Wiednia. Wiewiór księżycowy, dość ciepły. Znowu tutaj jestem, po trzech latach.

Przebiegam w myśli trasą z lotniska do miasta, nazwiska znajomych, z odrobiną troski, gdzie spędzę pierwszą noc. Może to filister ska troska, może to kwestia lat, że takie zmartwienia nachodzą. Wybieram stary adres, i po 2 z okładem godzinach — lecieliśmy z półtorej godziny raptem! — ląduję na przeciwnym przedmieściu. Pokój na szczęście wolny. Nie czuję

się obco, droga znajoma, wszystko już niegdyś przelatało, przylega do kładnie do tego, co zapamiętałem. Taka stabilność miejsc, do których się wraca z pewnością, iż nie się nie zmieniło, jest właściwie dobra, przedkładam ją nad zmiany i niespodzianki, choćby i sympatyczne. Kupiłem w Warszawie „Znajomą pani Maigret” Simenona, smakowita lekturka przed nocą, załatwiam ją „od ręki”. I sen, w którym koła czą się różne jeszcze łódzkie sprawy ki.

25 XI

Po rundzie uroczym śródmieściem, pierwsza wizyta w Austriackim Towarzystwie Literackim. Jest ono centrum współczesnego życia literackiego, agenda austriackiej literatury dla zagranicy. Trafiam na konferencję prasową, szef Towarzystwa, dr W Kraus, referuje projekt organizacji „Dnia Liryki”. Proponuje 5 marzec, dzień, w którym ponoć nie urodził się ani nie umarł żaden klasyk. Ma to stanowić okoliczność przychylną dla propagandy poezji współczesnej, z jej popularyzacją nie jest najlepiej, nie kupuje się za wiele tomików, co tu mówić, nie tylko ich to zmar twienie. Wywiązuje się dyskusja, padają deklaracje ze strony prasy, wydawnictw, radia, szkolnictwa, przeprowadzi się ankietę w skali międzynarodowej na temat perspektyw poezji w świecie współczesnym. Nie brakuje dobrej woli, brakuje troszkę — pieniędzy. Nie ma środków, aby ufundować jaką nagrodę dla poety, wyróżnić tom wierszy, inicjator imprezy nie tra ci nadziei, iż coś wyłuska z kieszeni mecenasów.

Rozpiera mnie dyskretnie uczucie dumy, że w moim mieście od kilku lat celebrowane są gigantofestiwale poezji. Pochwalić się? E, nie uchodził

28 XI  
Wybieram się do ambitnego teatru piwnicznego, do Atelier am Naschmarkt, który był dla mnie najciekawszy spośród wielu tego typu scenek. Ongi jego spektakle, odwiedzane licznie przez wyrobioną publiczność, wypełniały lukę w tej mierze na gruncie wie deńskim. Jego kierownik, Veit Relin, młody, pełen pasji teatralnik, żywo i inteligentnie przejmujący się inspiracjami sztuki eksperymentalnej i społecznie bezkompromisowej — za to chwalił kiedyś przede mną polski teatr! — wydawał mi się człowiekiem, powołanym szczególnie do takich arcyważnych (i potrzebnych) spełnień. Sam je sobie określił i już je z powodzeniem urzeczywistniał, placówka za skła najlepsza imię. Tylko tak da lej.

Nie ma już Relina. Wybrał coś innego. Ożenił się z „gwiazdą i dużą powojennego filmu niemieckiego” jak pisała prasa, to znaczy z Marią Schell. Wyznała ostatnio, że dla niej ta rola symbolu stała się już nużąca i że za cenę uwolnienia się teraz na zawsze od swego sentymentalnego imago gotowa by przejść nago ulicami Monachium. Okazuje się, że nie tak to proste. Niedawno wspólnie z małżonkiem nagrała płytę z „lżawymi pieśniami”. Niby z zamiarem dystansowania się od placzli wości. Ci, co słyszeli tę płytę, powątpiewają. Maja chyba rację.

I XII

Nikt bodaj nie zasiał jeszcze do pisania dzieła o Polakach w b. naddunajskiej monarchii. O ich losach rozsmaitych, o oczekiwaniach, rachubach, o złudzeniach. Byłaby to książka niezwykła. Kręcili się na dworze, byli ministrami, antyszambrowali za interesami, ściągali z ubogiej Galicji do Sachera na lumpki, czyli lampartowali się wściekle, wisieli w różnych kłamek, trwonili fortuny. Mieszali się w tygu narodowości, często chętnie, łatwo i szybko wynaradawiali się pod ciśnieniem obcego żywiołu. Niejednemu opowiedział o nich pamiętliwy złośliwiec Chłędowski, sporo obrazków „z życia wyjętych” przeszło do literatury. Niech im ziemia lekka będzie, nie ma czego zazdrościć, ani ziębić nas ani parzą Ale...

Nieociekony Jan Gawroński pisze gdzieś, iż podobno Agenor Gołuchowski (młodszy) w roku 1918 szczerze miał żałować, że nie może już być pomocny Polsce, wszystkie swe siły i talenta sterat w obcej służbie, oddał w pacht cudzym sprawom. Tak jak jego wybitny ojciec. A przecież mógł coś chyba zostawić w spadku Polakom, choćby swój okazały pałac przeznaczony na cele polskie. Zapomniał? Inni byli nieporównanie gorsi. Tak! np. Karol hr. Lanckoroński, mecenas sztuk, prawda, pięknochud, miał szansę, by iść śladami Ossolińskiego. Nie poszedł. Zaustriakizował się totalnie, nawet poezje pisał po niemiecku. W pałacu Gołuchowskich, w którym mieści się archiwum państwowe, zalegają regały opaste, zgrybiate wiekiem akta. Są i ludia z napi-

sem „Polen”, od XV stulecia, skrywają i ciężkie dowody grabieżczej bezwzględności polskiej arystokracji, która odprawiana z kwitkiem przez naszych królów i sejmy zanosiła przed obcy tron bezwstydne sublikacje, tu dochodząc krzywd majątkowych. Nie miałem powodu rumienić się za nich, za panie i za panów, lecz przykro było czytać owe prośby, zwłaszcza, że nieraz w języku polskim wygotowane. Ale nie potrafię sobie odmówić zacytowania dystychu Lanckorońskiego z jego „Weneckiego dziennika”:

„O tobie myślę, Brytyjczyku, spacerując po Rialto,

Shyloka tu spotkałem, Portia snadź w domu została”.

3 XII

Będąc tu przed trzema laty odwiedziłem p. Lilly Wildgans, wdowę po poecie i dramaturgu austriackim. Poszukiwałem wówczas, jak i obecnie materiałów do biografii Tadeusza Rittnera. Przypuszczałem nie bez słuszności, że jej małżonek, znany w tamtych latach rittnerowskich w wiedeńskim świecie teatralnym, przez pewien czas nawet dyrektor Burgu, musiał utrzymywać jakieś kontakty z autorem „Wilków w nocy”. Tak istotnie było. Zameldowałem się telefonicznie, starszy, silny głos kobiecy zaprosił mnie do złożenia wizyty. Pojechałem do Mödling, osady pod wiedeńskie, zaszytej w sadach i willach.

W bujnej roślinności odnalazłem przestronną siedzibę pisarza z dużym ogrodem; musiał zakupić tę posiadłość za grubszą honoraria. Listów Rittnera znalazło się sporo, niespodziewanie, bo Polak nie należał do żarliwych korespondentów, mawiał, że zamiast listu chętniej by napisał ze trzy sztuki. Teraz miałem tylko powiedzieć, że całość przełożyłem i opracowałem, i przeprosić, iż wydawca ślimaczy się z publikacją. Spóźniłem się, p. Wildgans niedawno umarła. A zda wało mi się, że tacy ludzie nie będą mieli czasu umrzeć. Cóż za energia tkwiła w tej staruszce, co za wigor! Zachęcając mnie wówczas do pisania, zawstydzając nb. za nieznajomość stenografii, posłała z notatnikiem do drugiego pokoju słuchać radiowej lekcji języka angielskiego, po godzinie wróciła, zesłaliśmy na dół, na parterze bowiem urządziła muzeum pamiętek po swym mężu. Przeznaczyła na nie kilka pokojów, sama będąc archiwariuszem i prezesem Towarzystwa im. A Wildgansa i kustoszem. Oprawdzała wycieczki szkolne, wydawała biuletyn, opublikowała kilkutomowy wybór korespondencji męża, kilka jego mto dzieńskich utworów, a ponadto — dwa pękate tomiszca wspomnień o nim.

7 XII

Tuż przed moim przyjazdem na premierze „Wesela Figara” w Burgu grupa studentów urządziła „kociokwik”, halaśliwy protest. Aktorzy zmuszeni byli przerwać grę, dopiero po uciszeniu demon-

strantów, których nawiasem mówiąc nie zidentyfikowano, czy po ich wyproszeniu, zakończono spektakl. Podniosi się mały hukzek w prasie, komentowano to wydarzenie jako niebywały raczej w historii tego domu incydent, oburzając się, lecz nie dociekając przyczyn takiej postawy. Dla „młodych, gniewnych ludzi” Burgtheater jest instytucją strupieszalą, śmiesznym muzeum starożytności, nie chcą oni widzieć w Burgu swego Teatru Narodowego, którym przecież jak najsluszniej jest i nie przestanie zapewne być, cedując na inne sceny uprawianie sztuki mocniej sprężonej z współczesnym czasem, chociaż i na te deski wchodzi repertuar aktualny. Jak mi się zdaje, motorem podobnych wystąpień studentów są procesy głębsze, również o podłożu ekonomicznym, wyrastające z odruchów niezadowolnienia i sprzeciwu przeciw rozmaitym formom życia społecznego i organizacyjnego, w tym ostatnim wypadku wewnątrzuczelnianego, np. chodzi m. in. o niewystarczające, zdaniem studentów, dotacje na cele naukowe itp. Na terenie uniwersyteckim można przeczytać co niemiarą manifestów, deklaracji, protestów i napisów w różnych stylizacjach i tonacjach, powołują się nawet na Mao i rewolucję (?). Widziałem np. kondukt z czterema trumnami, zdążający pod magistrat. Owe cztery trumny miały symbolizować jeśli nie śmierć, to w każdym razie letarg czterech wyższych uczelni. Dużo w tym przesady, sam kondukt zresztą przypominał raczej korowód karnawałowy. Studentenci są jednostronni i zapalczywi, nie chcą widzieć, że przecież wiele się dla nich robi. Piszę to, bo mam skalę porównawczą.

Sprawa zajścia w Burgu znalazła swoje echo na spotkaniu dyrektora Burgu z uczestnikami seminarium doktoranckiego Instytutu Teatrologicznego, na tym przedstawieniu byli również adepci teatrolologii. Kierownik Instytutu zapewniła uroczystości szefa Burgu, ręką słowem honoru, iż wśród protestujących nie było nikogo z jej podopiecznych. Po tym oświadczeniu zaległo milczenie. Kilkanaście sekund ciszy. Enuncjacja dyrektora sprowadzała się do analizy spraw bytowych i administracyjnych, do stwierdzeń, iż publiczność nie interesuje się poważniejszymi zamierzeniami teatru, nie zna się w dodatku jej oczekiwań, a jej upodobania się nie zmienia. Z dwóch celów: humanizacja czy polityka, re alizujemy cel pierwszy. Wypowiedź ta, a przede wszystkim sam przebieg dyskusji, zadziornej z akcentami polemicznymi, kwestionującymi i koncepcje tej sceny — nie stanął w jej obronie żaden mówca! — uprzytomnił mi, że z większą rozważą należy rzucić na szale słowo honoru... Swoją drogą wybrali studenci na swój protest akurat sztukę, której nie powstydziłby się dziś żaden zaangażowany teatr świata. Biedny Beaumarchais! Chociaż... A może nieboszyk miał być właśnie patronem tego wystąpienia?

Mówię do uczennicy:

— Polska jest twoją ojczyzną. I wychodzę.”

I jeszcze jedno wspomnienie świadczące o tym, jak dzieci solidaryzowały się z wychowawcami podobnymi do Zbijewskiej, jak czuły się współodpowiedzialne za wynik tej trudnej walki o polskość Łodzi i tzw. Królestwa.

„Nauczyciel śpiewu chce koniecznie spełnić obowiązek względem cara i nauczyć dziewczęta rosyjskiego hymnu państwowego „Boże chroń cara”. Byłam temu przeciwna, więc czeka na odpowiednią chwilę. Czekam dość długo, bo jestem zawsze obecna na lekcji.

Raz się jednak zdarzyło, że musiałam wyjść do interesantki. Nauczyciel korzysta z tego, zaczyna grać i śpiewać hymn rosyjski. Z oddalenia słyszę to, więc przerywam rozmowę i wchodzę do klasy. Cóż widzę. Uczennice mają oparte łokcie na pulpach a usta zakryte pięściami mocno zaciśniętymi.

— Dobrze zrobiliście — mówię.

Nauczyciel wstaje, wychodzi. Więcej do szkoły nie przyszedł”.

Była w tej szkole jeszcze jedna atrakcja, niespotykana chyba w innych szkołach wówczas istniejących. Mianowicie tułał się po świecie brat Julii Zbijewskiej i od czasu do czasu przysyłał jej dowody pamięci i braterskiego uczucia w postaci przedmiotów egzotycznych, ubrań noszonych przez ludzi na drugiej półkuli, wypchanych zwierząt, kolekcji motyli mających dziwne kształty, a wśród przedmiotów tych był też olbrzymi wypchany krokodyl. Niewielkie to, a przecież cenne muzeum zapewne pomagało w nauce. A później stało się chyba początkiem Muzeum Przyrodniczego w parku Sienkiewicza.

Szkola Zbijewskiej przestała istnieć w roku 1920. Jej sędziwe dziś absolwentki użyły określenia: „kiedy nie mogła już szkoły prowadzić...” Nie wiem, dlaczego nie mogła prowadzić szkoły. Uczennice przeszły do pobliskiego gimnazjum im. Sczanieckiej, cały zaś bogaty dobytek szkoły przekazała Szkole Przemysłowej Zeńskiej mieszczącej się przy ul. Narutowicza 77, tam, gdzie dziś Szkoła Sztuk Plastycznych. I sama tam się przeniosła jako nauczycielka. Jednocześnie uczyła też polskiego w Seminarium Nauczycielskim niemieckim przy ulicy Ewangelickiej. A kiedy w roku 1935 przechodziła na emeryturę, nauczyciel Niemiec kręcił z niedowierzaniem głową, widząc, jak w hitlerowskim duchu, zdawać by się mogło, poprawnie wychowani młodzi Niemcy, dali Polsce książkę w upominek i to książkę polską. Przyszła więc starość, a wraz z nią przymusowy odpoczynek, którego nie pragnęła. Wiedziała, że hasło „Polacy, uczyć się czytać” zostało w „znacznej mierze zrealizowane, ale słowo pisane nie spełniło jeszcze tej roli, jaką spełniać powinno. Pół biedy ze śródmieściem. A peryferia...

Przylegała do Łodzi wieś i gmina Radogoszcz. Wtedy, w 1935 roku zmieniał się wygląd miejscowości. Rozległe pola, na których siano i żęto dla baronów Heinzlów poczęły pękać na działki. Własność zbankrutowanych fabrykantów kurczyła się gwałtownie, jej pamięć została w nazwach, stanowiących ilustrację zasad dziedziczenia: Marysin, Julianów. Nie zapominajmy, że również dawny heinzlowski folwark, Helenów zyskał swą nazwę od imienia którejś z nadobnych baronówien.

Otóż Zbijewska, szukając takiego miejsca, w którym byłaby najbardziej potrzebna, trafiła do Radogoszcza i tam przy ul. Słonecznej 10 zbudowała domek, z góry

przeznaczony na mieszkanie dla siebie i bibliotekę.

Zbijewska umarła w r. 1940. Widziałem pośmiertne zdjęcia — włożono jej w rękę ryngraf z orłem białym, na przekór terrorowi okupacji. A na drugim zdjęciu — długą, niebezpiecznie długą kondukt pogrzebowy w wrót radogoskiego cmentarza.

Kiedy minęła wojna grono wychowanek Zbijewskiej usiłowało ożywić jej dzieło. Ale nie udało się. Może czas był nie po temu, może w pierwszych miesiącach wolności przeważały potrzeby inne, może ludzie syści, ba — przesyceni wrażeniami niezwykłymi, zmęczeni troską o siebie i innych pragnęli przede wszystkim zmiany rytmu życia, odkładając refleksje na później.

A tymczasem część owego domku zajmowały wychowanki Zbijewskiej i kiedy poczuły, że przyszedł okres małej stabilizacji, że pamięć własnych przeżyć spowszedniała u ludzi i przydałby im się materiał do przemysłu, zwróciły się do odpowiednich władz z propozycją dania im mieszkania zastępczego, choćby jeszcze skromniejszego niż miały, aby — przez pamięć dla Zbijewskiej znów stworzyć bibliotekę. Jak wiadomo — do historii przechodzą nie tylko ludzie wielcy, których życie było tworzeniem. Historia rejestruje i takich, którzy niszczą. Otóż była pewna urzędniczka w dzielnicy Bałuty. Do historii kultury Bałut przejdzie jako ta, która rzekła: „O — tu mi kaktus wyrosnie, jeżeli wy tę sprawę załatwiecie”. Wobec takiego postawienia sprawy walka o lokal trwała trzy lata. Po trzech latach urzędnicze wróżki kaktus na dłoni, a na ulicy Słonecznej znów powstała biblioteka. Dawni sąsiedzi Zbijewskiej przybiegli z kublami, pędzłami i farbami i skromny lokal przybrał właściwy wygląd. Owi sąsiedzi to ci sami ludzie, którzy w czynie społecznym przeprowa-

dził 16-kę od Biegańskiego do końca. Więc co to dla nich uporządkować trzy pokoiki. Dostali z innych bibliotek 500 tomów i z tym zaczęli. Kończył się właśnie rok 1965 Otwarcie było — rzecz można — huczne, urońia leżkę ówczesna kierowniczka referatu kultury, Maria Nowicka. Ona to obok wychowanek Zbijewskiej występowała jako rzecznik wskrzeszenia biblioteki a kierowniczką została p. Spółnińska.

Trzeba było sprawę prowadzić do końca i w nazwie placówki uwiecznić nazwisko Zbijewskiej. Nielatwo z tym poszło, bo pochodzenie społeczne nie najlepsze — przecież rodzice jej, Waclaw i Stanisława Zbijewscy, owi powstańcy z 63 roku to szlachta. Na szczęście udało się przebrnąć i przez to, biblioteka nosi już imię Zbijewskiej, a na jej budynku zawisa niedawno tablica pamiątkowa.

700 czytelników ma do dyspozycji 4000 tomów. I poprzez bibliotekę kontaktują się bezpośrednio z łódzkimi autorami. I zrobiło się ciasno, za ciasno jak na samą bibliotekę, a tu jeszcze wieczory autorskie i quizy, więc zrodził się nowy problem w Radogoszczu — czytanie uważnie! — w tym samym Radogoszczu, w którym tuż po wyzwoleniu nie dało się utrzymać małego księgozbioru. Potrzeby kulturalne dzielnicy przerosły możliwości istniejącej placówki. Wychowanki Julii Zbijewskiej już nie mogą odstąpić swoich mieszkań. Niech się teraz pomartwi Referat Kultury i tak mi się coś widzi, że obecna kierowniczka Referatu, p. Anna Mrzygłocka nie zaśpi gruszek w popiele.

\* J. Zbijewska. „Zofia Wocławowska — nasze siostry, nasze patronki”, Biblioteka Harcerzek, Bucze, księżeczka V.

# Nad ABIODEM

Idziemy w bezludzie, w martwe kanyon Abiodu. Próbowujemy spojrzeć na jedną z kart umierających lub umarłych gór, Czy potrafimy odczytać cokolwiek z tej cementarnej księgi przyrody.

Nie spieszymy się. W tej krainie czas posuwa się wolno. Idziemy górą. Jaszczurczka niechętną błyskawicą usuwa się spod nogi. Para przepiórek podrywa się spod granatu i pędzi ku zaroślom oleandrów.

Patrzymy w dół, w dolinę. Przecież tam tyle życia. Tysiące palm obrosło dno uedu — wysoki las pod naszymi stopami. Oto daktyle zaczynają dojrzewać: żółte grona u szczytów drzew nabierają koloru dojrzałego grochu. Ale wyróżnia się jedna spośród palm — kiscią daktyli tak rozświetloną w słońcu jak najpiękniejszy rumieniec kobiety.

Oto granaty. Idealne dojrzewanie. Pękają bez trzasku. Okrągłość. Różowość. Kobiecość. Różowe ziarenka dają posmak ciępkki i orzechowaty. Jak uzupełnienie pocałunku.

Nikt nie układał ław kamiennych, białych płyt piaskowca pod krzewami dzikich granatów. Ułożyły się same. Człowiek tu nie zachodzi. Przejrzałe granaty zwisają ku gładom. Lepki sok owoców spływa na płaszczyznę piaskowca. Powstają na nim mapy różowych łądów szczytów mórz.

Odtamki skał uedu ułożyły się obok kuszcza jak dwa wygodne fotele. Jakże nie usiąść na chwilę?

Różowy owoc — w ustach. Słońce po przeciwnej stronie rozpalilo skały do czerwoności. Głos muezyna obwieszcza oazę i górcom czas południa. Przekwitające oleandry stają się podobne do skał. W cieniu drzew figowych trochę wilgoci i chłodu. Cisza. W południe pustynne słychać trzeszczący „śpiewający” piasek. Może milczący Szaujan rozumieją jego mowę. My jej nie nauczymy się nigdy.

Nie odczuwamy rzekomej straszliwości miejsca. Przeciwnie, raczej urok niezwykłości. Coś nam się przypomina. Spostrzegamy wyraziście jakiś brak. Czego niedostaje? Wiemy wreszcie: brakuje młodości w tym najdziwniejszym otoczeniu. Nie zastępują jej dwie dziewczynki berber skie siedzące na dachu, jak małe robaczki wśród mchu. Domek leży poniżej nas o kilkaset metrów.

Idziemy ku ścianom skał. Tu próchnieją kamienie. Zmurszałe głązy wciąż jednak wydają się pewnym życiem. Ruiny gór. Fantasmagoria rozkładu. Przedśmierne halucynacje wielkiego artysty, skamieniały mózg gigantycznego rzeźbiarza.

Nie trzeba mieć wyobraźni, wystarczy posiadać tylko oczy, by ujrzeć wyrzeźbione w kruszaczach się blokach chaotyczne sceny olbrzymiego widowiska na przestrzeni biegnącej nie wiadomo dokąd.

Muzeum niedokończonych arcydzieł w wykonaniu wielkoludów. Gromada sfinksów wychodzi z podziemi. Kazalnica wykuta dla samego chyba szatana. Kolumnady rozkładającego się imperium. Kapitele, kapryśnie rozmieszczone na trzonach kolumn, jak ucięte głowy olbrzymich ptaków. Kwiatony infernalnych katedr. Fasady pałaców, baszty księżycowych zamków, świątynie walki Arymana z Ormuzdem, Kaplice bogów krzyżujących Boga. Kłasztory świętych orangutanów. Bizantynizm i sztuka chińska, gotyk i posągi Buddy, rozbite fragmenty wszelkich stylów. Rozmiary tytaniczne, ujęcia konwulsyjne, wizje narkotyczne, upieknielone niebios i do nieba przeniesione piekło.

Stanisław Czernik, pisarz wielkiego talentu i człowiek wielkiego serca, ukończył 70 lat. To wiek sędziwy. A przecież od debiutu w r. 1923 nie wydanym tomem wierszy „Drabina do gwiazd”, który przyniósł mu nagrodę Instytutu Literackiego „Lektor” po dzień dzisiejszy Stanisław Czernik jest twórcą czynnym a jego artystyczny dorobek zajmuje porządne miejsce we współczesnej kulturze Polski. Poeta, prozaik, tłumacz, zasłużony badacz i popularyzator folkloru jest twórcą mocno osadzonym w narodowej tradycji. Jego powieść „Reka”, za którą otrzymał nagrodę państwową, jest jedną z najwybitniejszych książek jakie ukazały się w Polsce Ludowej.

70 lat życia, jakże przy tym czynnego. Urodzony w rodzinie chłopskiej Stanisław Czernik mozolnie zdobywa wykształcenie i poświęca się pracy nauczycielskiej. Dopiero wtedy będzie mógł opublikować swój debiutancki, nie wydany tom wierszy. Jest to rok 1931. Dzięki działalności młodego wtedy jeszcze poety małe miasto Ostrzeszów na wiele lat staje się jednym z ważniejszych centrów kultury polskiej. Tu właśnie od roku 1935 aż do wybuchu wojny Czernik redaguje i wydaje miesięcznik „Okolica Poetów”, na którego łamach debiutowali wybitni dziś poeci spod znaku „autentyzmu”.

Wybuch wojny przeszkodził kontynuowaniu tej owocnej działalności wydawniczej. Czernik bierze, z bronią w ręku, udział w kampanii wrześniowej a potem jak tyłu polskich żołnierzy udaje się na tułaczkę. Przebywa w Rumunii, Algierze, we Włoszech i w Anglii, do kraju wraca w r. 1947.

Od roku 1951 Stanisław Czernik zamieszkuje w Łodzi. Lata łódzkie są najważniejszymi w rozwoju jego talentu: tu powstały najwybitniejsze jego książki, tu napisał także „Rekę”.

Stanisław Czernik, co trzeba podkreślić, jest laureatem nagrody miasta Łodzi.

K.F.

## Stanisław Czernik



Zmienia się wygląd. Jak układ chmur i obłoków na niebie. Za każdym krokiem. W miarę zbliżania, w miarę oddalania się. Ptak się przekształca w smoka, smok w głowę widmową, upiór w głowicę kolumny, kolumna w fantastyczne drzewo, drzewo w kaplicę... Księga nieprawdopodobnych pomysłów, sen absurdalny.

Wyjść rano. Brnąć przez tę dżunglę obrazów do południa. W południe orzeźwić się dzikimi granatami na fotelikach z piaskowca. I iść aż pod zachód słońca wzdłuż tych ścian, i nie dosięgnąć końca. Nie wiadomo, gdzie się urywają, w głębinach jakiego kanyon.

A to pewnie tylko tak marzą w tysiącletniej agonii próchniejące skały nad uedem.

Innego dnia. Inna karta tej fantastycznej księgi pustyni i oaz.

W zachodzącym słońcu wydłużają się cienie. Poprzez pierwsze zapowiedzi mroku przebiega siateczka złudzeń. Zmienia się zwykły układ zjawisk. Zbliżają lub oddalają się skały. Pogłębiają się studnie urwisk. To znów gdzie indziej podnosi się dno rozłoki. Złudzenia wywołane grą światła.

Słońce jeszcze nie zaszło, ale na dnie uedu w palmowym lesie już panuje wieczór. Chłód, miła wilgoć po nużącym i upalnym popołudniu, smakuje jak napój przygotowany przez samego Allacha. Wywołuje to nadzwyczajną radość skrzydlatych żyłatek. Jakies ptaszęce drobiazgi tanecznie przelatują z palmy na palmę. Wesołe ptaków podzielałają gromady świerszczy. Grają chóralnie. Jak zespół cyfr metalicznych.

Mija się szybko ogródki uedu; nie należy spóźnić się na widowisko zachodu. Strumień w uedzie okazuje się ziośliwy. Mieszamy się wobec przejścia. Kamienie są wilgotne.

Spostrzega to Aurezjanin z drugiej strony uedu. Okazuje się potem, że to muezyn. Przyzywa nas ku najłepszemu przejściu. Sam w najodpowiedzialniejszym miejscu zajmuje stanowisko na głazie. Ciepłą dłonią pomaga przy skoku. Zna kilka wyrażeń francuskich. Prowadzi nas ku górze. Wskazuje najlepsze ścieżki. Potem skręca do swego domku z kopolką. Wkrótce z dachu będzie ogłaszał godzinę wieczornej modlitwy.

Mijamy „kopolkę”. Pniemy się wyżej. Drożka nieco stroma. Ale zwyczajna to ścieżyna mułów i ludzi ze wzgorza.

Wzrok, nieprzywykły do urwisk i miaraży pustyni, podczas zachodu słońca widzi więcej, niż trzeba, w wydłużających się cieniach. W głowie się lekko zawraca. Serce się odważemnia. Tak działa wino pustyni: zachód słońca.

Na szczycie ruin domów. Wszędzie tu mnóstwo ruin. Jakby dla zaznaczenia łączności z ruinami gór. Czasem trudno rozróżnić, do którego rodzaju zaliczyć zwaliska. Wśród tych podwójnych ruin tkwią jednak domy mieszkalne.

Szczyt pozwala spojrzeć szeroko na obszar górski w zachodzącym słońcu.

Splaszczona okrągłość widoku. Góry na pierwszym, góry na dalszym planie. Na prawo. Na lewo. Wszędzie. Amfiteatr. Arena gór. Stoją. Leżą. Rozsiadają się. Nigdy nie można powiedzieć, że się wznoszą. Może pierwszy zmrok tak je obniża. Ścięte stożki. System: jakies dążenie do okrągłości, owalności, kulistości.

Zachód odsłania ukryte barwy. Bogatą kolorystykę pustyni widzi się dopiero w

okresie - wieczornym. Złoto. Różowość. Pasy tęcze. Zielone kwadraty jakichś ogródków i poletek na stożkach gór.

Lecz jeden zakątek krajobrazu nagle chwytą uwagę: ta barwa, najdoskonalsza sępia na różowym tle. To czarny strumień wielkiego stada kóz pędzonych z gór. Biegnie wyłobionym przez deszcze łożyskiem. Ale jak pion. Jak potok spada

z góry. Z daleka podobny do czarnego wodospadu w słońcu, w zlocie, w ametystach, w tęczy.

Obok nas uprzejmy właściciel domostwa na szczycie. Też patrzy w ten „strumień”.

Nie może się wstrzymać od chwalby: — Te kozy należą do mnie. Feudal.

## MIECZYŚLAW MICHAŁ SZARGAN

### KAMIEŃ

I  
Odtąd do żółtego lubinu droga naznaczona kamieniem,  
Odtąd do płotu znowu kamieniem białym jak głowa,  
Pogrzeb gdy idzie niosący liczą ile kamieni do grobu,  
Wstęga się rozwija gdy wraca wesele do domu.

II  
Wiatr, ten ma porachunki z kamieniem,  
Dobija się o gościnę od początku ziemi.  
Naginęło wiatru przy ścianach kamienia.  
Nie otworzył ani jednej izby,  
Słowa nie powiedział marnego.

III  
Co winien kamień.  
Nic nie winien kamień.

Mógłby pilnować umarłych,  
Mógłby rzeźwić w studni wodę,  
Mógłby być progmem,  
W służbie posiwiec.

Kamień Kaina,  
Kamień Goliata.  
Gdzie on jest teraz.  
Czy zawsze w polu.  
Czy już go ktoś podniósł  
Na brata.

IV  
W pierwszych słowach był w tym liście Stół  
Czego i wam życzy Dalej opis ogrodu  
Lecz ani zdania o tym czy przy furtce  
Leży stary pocziwy kamień.

V  
Ci którzy mówią: Ten człowiek jest z kamienia,  
Nic nie wiedzą o kamieniu.  
Ilu nie doszłoby do progu gdyby nie podał im ręki,  
Dla ilu był tarczą przed ogniem i morem  
Sam tak spalony że w zorzy czarną trumną.

Pielgrzymi znali kamienia serdeczność,  
Żegnali się z kamieniem.  
A na powitanie pochylali nisko głowy.

### WAGA

Więcej powie ogień  
Bo z ognia szli pod krzyże z młodych brzołek  
W ogniu biegali jak w ogrodzie dzieciństwa  
Płatki z płomienia upadały im na białe czoła.

Nie podnosili spalonych owoców  
Szli dalej: tam gdzie kościoły płonęły jak stogi  
Niebo nad kościołem jakby w nie runął witraż  
Jak nożem szkłem porżnięty błękitny majestat.

Chrystus zwęglony jak jabłko w ogrodzie  
Na ołtarzu ugodzony antychryst w hełmie.

Szli gdzie widoczne kości rodzinnych domów  
Matki pokotem na podwórcach  
Siostry ukrzyżowane na bramach z odkrytym łonem

Wzięli ten obraz  
I odtąd karabin był wagą.

## FLŻBIETA WRÓBLEWSKA

„Polityka dyktuje cele strategii. Strategia — sztuka operacyjnej. Sztuka operacyjna stawia zadania — taktyka wytycza działania na polu walki. Ministerstwo stawia zadania generałom. Generałowie wydają rozkazy pułkownikom. Pułkownicy rozkazują kapitanom, kapitanowie komendują żołnierzami. Żołnierze biją się. Żołnierze umierają. Umierają ludzie. Ludzie umierają. Nie chcą umierać daremnie” — pisze Zaluski w „Czterdziestym czwartym”.

Przełomowe momenty historyczne to chaos krzyżujących się ludzkich działań, wynikających z różnorodnych motywów, tragedie omyłek i nieporozumień, a je dnoceśnie poszukiwanie wartości nadających się do zaakceptowania. Ilu już pisarzy i publicystów próbowało po swojemu rozwiązać rebus historii! Rozwiązać, to znaczy z tego chaosu wydobyc logikę zdarzeń, zrozumieć, dlaczego umierali ludzie. O roku czterdziestym czwartym w naszej literaturze będzie można kiedyś napisać osobny esej. Kiedyś ponieważ zapewne nie jeden jest cze pisarz sięgnie po ten temat. Istniało i istnieje zawsze niebezpieczeństwo pozorów rozwiązań rebusu pt. „rok czterdziesty czwarty”. Można przecież zacząć stanać narratorowi ponad losami bohaterów i zgodnie z uznanymi, a raczej przyjętymi przez niego kryteriami podzielić działania ludzkie na „śluszne” i „niesłuszne”. Tak tworzy się zabójczy dla literatury schematyzm, tak tworzy się dogmat. Oczywiście postawa taka jest irracjonalna, bo jednostkowe zachowania wynikają zawsze z logiki sytuacji, a nie z „odgórnych” założeń.

Autor nowej książki o roku czterdziestym czwartym wybrał racjonalizm. Postawił sobie zadanie maksymalnie trudne i ambitne — spróbować pokazać działania i przeżycia jednostek uwikłanych w historię, która obecna jest wszędzie — na sali szpitalnej, w stosunkach rodzinnych, nawet w pełnych dramatyzmu romansach. W powieści jest trzech narratorów relacjonujących wydarzenia w pierwszej osobie i jeden — opowiadający w trzeciej osobie. Ten ostatni to sprawozdawca, nie warto ściągając, nie sugerując wyrażenie swoich sądów. Mamy więc do czynienia ze zmianą punktu widzenia. Inny jest punkt widzenia oficera

Marcina Bednarczuka, Inny Michała Łaszewskiego, który brał udział w parcelacji ziemi, inny wreszcie — Jarosław Jackowski, walczącego w oddziale „Szpaka”, człowieka „z tamtej strony”. Wszyscy spotykają się na tej samej sali szpitalnej, wokół której koncentrują się także losy pozostałych bohaterów powieści. Pomysł, zdawałoby się, klasyczny dla pewnego typu literatury wojennej. Książki Bilińskiego nie można jednak umieszczać tylko w ramach takiej konwencji. Nasuwają się skojarzenia pochodzące z lektury powieści o innych tradycjach literackich i innej technice pisarskiej. Powieść ta to „Cichy Don” Szolochowa. Jako motto tomu i przyjął Szolochow fragment starej pieśni kozackiej: „Hej, ty ojczy, cichy Donie! Hej, czemu ty, ojczy, toczysz mętną falę?...” Zanik, jeden z bohaterów powieści Bilińskiego

chaos, a czasem jedni i drudzy są jej ofiarami.

Sytuacja rewolucyjna zawiera w sobie zawsze elementy tragizmu. Tragizm może łatwo skojarzyć się z patosem. Patos jest zasadzką zastawioną na pisarza przez temat. Biliński jednak umiał uniknąć tej zasadzki, ponieważ tragizm w jego powieści wynika z sytuacji motywacyjnych racjonalnie, z konfrontacji postaw i interesów. Rozbudowana fabuła nie istnieje tutaj sama dla siebie, po to, aby „książkę dobrze się czytało”. Pełni ona, jak zresztą we wszystkich książkach Bilińskiego, funkcję służebną, służy właśnie do wydobycia momentów tragicznych, stworzenia sytuacji uwikłania i sytuacji wyboru, ukazania międzyludzkich powiązań i komplikacji, naprzeciw których staje konieczność postępowania rewolucyjnego, nie mogącego sobie

tem narodowym — i świadomość tego daje się wyczuć w powieści. Po wymianie strzałów niemieckich i polskich następuje wymiana strzałów polskich z dwóch różnych stron.

Dlatego, chociaż pierwsze słowa monologu Jarosława Jackowskiego, walczącego w bandzie „Szpaka”: „Bóg, Honor i Ojczyzna. Przechodniu, powiedz Polsce” — mogą zabrzmieć w tonacji ironicznej, towarzyszy im jednak także odcień tragizmu. Tragedia roku 1944 była między innymi starciem się różnych ideologii.

Sytuacja rewolucyjna niosła ze sobą uwikłanie w historię. Z drugiej jednak strony stwarzała możliwość wyboru i chyba właśnie dlatego tak zafascynowała autora książki. „W roku 44 że być młodym mężczyzną, myśli Joanna. Żle, ale słodko. To tylko ma sens. Moja młodość przeszła bezsensownie.”

Mając naprzeciw siebie przeciwnika, można łatwiej określić własną pozycję i własne normy. Człowiek może dokonać aktu wolności. Może wybrać. I pozwolić sobie na „nonkonformizm”.

A więc — uwikłanie i możliwość wyboru — to dwa aspekty sytuacji rewolucyjnej, które ukazała książka Bilińskiego, książka o gorzkim i ironicznym tytule, ale też nie było słodkie to polskie pożegnanie z bronią. Jest w tej powieści kilka fragmentów szczególnie pięknych stylistycznie, jak np. prolog czy przeprawa przez Wisłę. Biliński jest pisarzem, który ma wyraźne dyspozycje do zarysowywania sytuacji konfliktowych, dramatycznych, co po arcyndnej literaturze „małej stabilizacji” jest nurtem świeżego powietrza wdzierającego się do nieco przytęchłego pomieszczania. Należałoby mu życzyć, aby nadal pozostając pisarzem nie stał się literatem „Nagrody i odznaczenia” są jedną z najbardziej interesujących książek, które pojawiły się ostatnio w naszej literaturze. Następne książki Bilińskiego mogą być dla nas jeszcze większym zastraszaniem.

pozwolić na liberalizm. Jedną z bohaterów powieści, Krystyna, niesie wyrok śmierci na ukochanego, nie znając treści listu, który trzyma w ręce — i jest to gest o znaczeniu symbolicznym.

Doktor Jackowski, ojciec walczącego w oddziale „Szpaka” Jarosława staje twarzą w twarz z pracownikiem UB, który domaga się fotografii jego syna. Oczywiście to już pełne różne przykłady, ale ilustrują one dramatyzm sytuacji, bardzo częsty w tej powieści. Wynika on jednak zawsze z logiki zdarzeń, jest racjonalnie uмотywowany.

Niektórzy bohaterowie są tylko uwikłani, inni widzą mniej lub więcej wyraźnie swój cel w tym ogólnym zamęcie. Dramaty o wymiarze antycznym rozgrywają się jednak zawsze na płaszczyźnie ludzkiej. Polityka, ta „przeklęta polityka” jest tylko środkiem, a nie celem. Dramat roku 1944 jest jednocześnie drama

## Rebus historii

„patrzy na znajomą twarz i myśli o tym, że wpadł w matnię. A może to się nazywa rewolucja?”

To, być może zaskakujące na pozór skojarzenie nie jest jednak przypadkowe. Zbieżność wynika stąd, że istnieje je typ sytuacji, którą można nazwać sytuacją rewolucyjną. Jest to (jak była dla Szolochowa) sytuacja tragiczna, ponieważ jej bohaterowie znajdują się w centrum wielkiego zamętu, ponieważ ich interesy często są sprzeczne z interesami zbiorowości. Sytuacja rewolucyjna stwarza możliwość uwikłania i zarazem możliwość dokonania wyboru, w zależności od tego, czy ktoś dostrzeże ga cel wylaniający się z chaosu, czy też dostrzeże go nie jest w stanie.

W „Nagrodach i odznaczeniach” człowiek jest uwikłany w historię. Niektórzy bohaterowie chcą być jej współtwórcami, inni widzą tylko

## EWA BŁASZCZYK

# Żakowska profesja

Z niecierpliwością czekałam na artykuł M. Leśniewskiej pt. „Jacy jesteśmy my studenci” („Odgłosy” nr 3/69) tym bardziej iż był on poprzedzony intrygującą zapowiedzią: „współczesna spowiedź dziecięcia wieku”. Wydawało mi się, że doznam jakiegoś wstrząsu czy objawienia a doznałam jedynie uczucia rozczarowania.

To prawda, że żyją wśród nas różni „tumiwisiści”, „pewniacy” i „instrumentaliści”, ale czy odznaczają się akurat takimi cechami jakże przypisuje im koleżanka Maryla?

Zresztą jeśli już chcecie tak schematycznie szufladkować, to znałoby się z pewnością jeszcze kilka innych grup, nie pasujących do żadnej z trzech w/w przegródek.

Ale żywego człowieka (a zdaje

się, że student to też człowiek) trudno jest zidentyfikować jednym słowem. Toteż wszelkie podziały wydają mi się sztuczne i niefunkcjonalne.

Zacząłabym raczej z innej beczki. Oto jak wygląda dzień przeciętnego studenta: do południa wykłady i ćwiczenia, potem przerwa na obiad, potem znowu wykłady i ćwiczenia. To trwa czasami od godz. 8.00 do godz. 20.00. Gdzie tu jest czas na przygotowanie się do ćwiczeń nie mówiąc już o obowiązku

jącym kanonie lektur. Dzięki zastosowaniu całego szeregu przesunięć i kombinacji studenci dochodzą do rewelacyjnych osiągnięć. Obowiązkowe ćwiczenia załatwiają w ciągu dwóch, powiedzmy trzech dni w tygodniu (stad owe 10-12 godz. dziennie). Pozostają wykłady, ale na te z reguły się nie chodzi, albo też chodzi się od przypadku do przypadku.

Dzięki tym karkołomnym kombinacjom studenci zyskują 3-4 dni w tygodniu, wolne od zajęć. Wspomniała okazja, aby czas ten poświęcić na tzw. samokształcenie. Lecz to znowu nie takie proste. Dużą grupą, stanowiąc studenci zamieszkiwi, a ktoś by siedział tyle czasu w akademiku skoro gdzieś tam czekała na niego najbliższa. Ło-dzianie natomiast różnie sobie czas rozplanowują. Są i tacy, którzy faktycznie idą do czytelnicy

głębić wiedzę tajemną. Wg podziału kol. M. Leśniewskiej należałoby zaliczyć ich do grupy „pewniaków”. Tylko, że ci „pewniacy” poświęcają swój czas na naukę z dobrej, nieprzymuszonej woli i bynajmniej nie ograniczają się do obowiązującego spisu lektur. Pewnie, że to jest podstawa, bo w końcu coś z tego gdy ktoś będzie świętynie znał twórczość pisarza w owym spisie pominiętych? Zazwyczaj, gdy przychodzi kolokwium asystenci trzymają przed sobą spis lektury, wodzą po nim wariatem, zatrzymują się np. na

pozytywiści i pada pierwsze pytanie: czy pan(i) to i to czytał(a)? W zależności od tego czytał(a) czy nie, dyskusja toczy się dalej. Nie można więc znowu tak sceptycznie podchodzić do tych, którzy trzymają się ściśle kanonu lektur.

A tak na marginesie — to ten spis lektur (sumując literaturę polską i obcą) jest wcale pokaźnych rozmiarów. Czasem po prostu czło-wiek nie nadąga i gubi się w tej całej skarbnicy opasłych tomów.

Z tych też mniej więcej powodów powstaje gatunek zwany przez kol. M. Leśniewską „tumiwisiści”. Są wśród nich i tacy, którzy nie bardzo chcą się uczyć, ot aby jakoś tam się prześliznąć.

Inni z powodu nadmiaru prac społecznych lub przynależności do różnych teatrów studenckich, zespołów muzycznych itp. uczą się „sokrami”. I tak z biegiem czasu powstają w ich wiadomościach coraz większe luki a stąd rodzi się konieczność nocnego „kucia” przed egzaminami. A zresztą owe przedegzaminacyjne „kucia” należy do jednego z oroków życia studenckiego i robią to bez wyjątku wszyscy dla utrzymania choćby samej tradycji i uroczystego nastroju sesji egzaminacyjnych.

Wreszcie „instrumentaliści”. Czyż

by studenci zaliczani do tego grona naprawdę nie znali naszych łódzkich poetów, zaś współczesną poezję polską ograniczali do paru nazwisk? A i literatury światowej z pewnością nie dzielą na wschodnią i zachodnią, ale na do brą i złą.

Natomiast za ich „wyrafinowane narzędzia” uważam po prostu zdolność logicznego myślenia i wiedzę daleko wykraczającą poza lekturę obowiązkową. Jeśli chodzi o ich terminologię naukową to nie taka ona znowu straszna. Każda nauka wymaga przecież określonej ilości terminów i bez nich nawet analiza literacka byłaby zaledwie jakimś spekulatywnym rozważaniem.

Należy raczej żałować, że zbyt mało jest na naszej filologii polskiej owych „instrumentalistów”, może wówczas byłoby wydział o wiele bardziej filologiczny, bo trzeba przyznać, że owej „analizy formalno-estetycznej” jest u nas stanowczo za mało.

Albo czy dlatego nie ma wśród instrumentalistów dziewcząt bo te wolą rozmawiać o „ciuchach”? Droga koleżanko, studentki już dawno z tych ciuchów „wyrósły” i wolą wyrobić naszą poczciwą, rodzimą „OLIMPII”, bo to i tańsze i łatwiej dostępne. Jeśli już czymś się pasjonują to raczej róż-

nymi anegdotami i ploteczkami o profesorach i asystentach a także, która z ich koleżanek wyszła za mąż i za kogo. Lecz z kolei tymi tematami, w równym, jeśli nie większym stopniu, pasjonuje się pleć brzydka.

To nieprawda, że nie pragną „ab solutnie żadnych zmian”. To byłoby niezmiernie smutne. Tylko ich protest przeciwko temu co się dzieje w klubach studenckich jest niewłaściwy. Polega on najczęściej na bojkocie tych placówek. I tu zarzut skierowany w stronę samych. Dlaczego potrafimy tylko narzekać. Ale żeby samemu wprowadzić jakieś zmiany to już przekracza nasze siły i chęci. Wolny czas wolimy spędzać gdzie indziej, po skończonych zajęciach każdy z nas żyje własnym, prywatnym życiem. Brak w nas poczucia przynależności do studenckiego świata. Traktujemy uczelnię jako źródło zdobycia dyplomu i kwalifikacji zawodowych. Dlaczego?

Czy nie w tym tkwi właśnie główna przyczyna wzajemnego nie zrozumienia i wielu niepowodzeń. Brzmiałoby trochę staroświecko, ale uważam że społeczność studencka winna być jedną kochającą i szanującą się rodziną. Niestety. Dalko nam do tego utopijnego ideału. A szkoda, bo z tego wynikałoby moral, że nas wszystkich, bez wyjątku, należałoby nazwać tumiwisiściami.



### OPERACJA „RAMSAY”

O doktorze Richardzie Sorge — słynnym pracowniku radzieckiego wywiadu — napisano kilka książek i nakręcono film. Polski czytelnik dostał w roku ubiegłym do rąk publikację najbardziej rzetelną — książkę radzieckiego autora Jurija Korolkowa.

W postaci i działalności Richarda Sorge jest wiele jeszcze miejsc niewyjaśnionych — zbyt krótki czas, który upłynął od tamtych lat z pewnością nie pozwala na pełne odkrycie owych kulisy wywiadu. Ale to życie, które od krywa przed czytelnikami/Korolkow obfituje w taką ilość sensacji, że stanowić może listną kopalię przygody.

To właśnie Sorge przesłał Rosjanom informacje o planowanej napaści Niemiec na Związek Radziecki, to Sorge w skórze hitlerowskiego dziennikarza stał się powiernikiem i doradcą wiktora wybitnych przedstawicieli z kręgów łódzkiej ambasady Rzeszy Niemieckiej i reżimu cesarza Hirohito. Za pośrednictwem jego radiostacji wszyście zdobywane tą drogą informacje docierały do Moskwy.

I jest to książka o samotności. O tragicznie samotnej, szarpiącej nerwy pracy wywiadowcy, którego cenne informacje przyjmowane są przez Stalina z niedowierzaniem i lekceważeniem. Tragizm tej książki — to nie śmierć doktora Sorge. Daleko bardziej tragiczne są momenty, kiedy ten wyczerpany nerwowo starszy, kulejący mężczyzna, wokół którego zaciska się krąg podejrzanych japońskich kontrwywiadów — śle błagalne depeche o odwołanie go z niebezpiecznej placówki. Nie wydano jednak takiego rozkazu i Richard Sorge do ostatniej chwili sztyruje swe meldunki do Centrali. Zginął w tokijskim więzieniu w przededniu zakończenia wojny, nieswiadomy tragicznych powikłań jakie dotknęły jego ojczyznę w końcu lat trzydziestych.

J.W.

Jurij Korolkow — Operacja „Ramsay”. Tłum z ros. A. Kozłowski. Książka i Wiedza 1968.

### OPowieść o LESNYM FILOZOFIE

„Myśliciel z Jastrzębiej Polany” to pierwsza przetłumaczona na język polski książka współczesnego pisarza fińskiego Veikko Huovinen. Fakt, że Huovinen jest z wykształcenia leśnikiem i przez wiele lat pracował w tym zawodzie, w istotny sposób zaważył na jego twórczości literackiej. Pisarz, wyjątkowo żywy z przyrodą, czerpie z niej wiele tematów i na jej tle umieszcza akcje większości swoich utworów. Tak jest również w przypadku „Myśliciele z Jastrzębiej Polany”. Pełna uroku i specyficznego ludowego humoru książka opowiada o drwalu-filozofie, starym Kouscie, który w lasach północnej Finlandii przeżywa swoje najdziwniejsze lato — przygodę. Kouska, który lubi zastanawiać się jakże zadanie ma do wypełnienia pełzająca gąsienica, co jest w środku starej sosny, ale także skąd się wzięła dziwna nazwa Borneo i jak trzeba się bronić przed skutkami wojny atomowej, zostaje zaangażowany jako pomocnik dwóch naukowców-zoologów. Drwał, do tej pory nie znajdujący należytego uznania wśród swoich towarzyszy, ma wreszcie okazję pracować z ludźmi, z którymi może przedyskutować frapujące tematy, może podzielić się swoimi wąskami i wątpliwościami. Stał się współtwórcą sukcesu naukowej ekspansji, a jego nazwisko pojawia się nawet w prasie.

Bohater powieści Veikko Huovinen jest postacią ogromnie sympatyczną, to czło-wiek prosty, a przecież odznaczający się dużą dawką zdrowego rozsądku, poczuciem humoru i dobitnym spojrzeniem na otaczający go świat.

Veikko Huovinen — „Myśliciel z Jastrzębiej Polany” Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 1968, str. 154, cena 14 zł. —

# Udziwnione „WESELE”

W dyskusjach na temat adaptacji teatralnej lub filmowej dzieł powieściowych za stanawiano się niejednokrotnie, jak daleko sięga prawo inscenizatora do dokonywania zmian w materii powieściowej. Odnośnie filmu Zygmunta Kałużyńskiego w recenzji o „Annie Kareninie” wyraził niedawno wątpliwość, czy ki no może w ogóle odtworzyć Tolstoja i dać równoważnik arcydzieła literatury.

Co do utworów, pisanych dla teatru, analogiczna dyskusja ograniczała się raczej do praw „reżyserskiego ołówka”.

Inaczej jednak przedstawia się sprawa, gdy utwór dramatyczny jest dziełem nie tylko pisarza, lecz zarazem „artysty teatru”... „poety-dramatyka, malarza, rzeźbiarza, konstruktora, reżysera i inscenizatora w jednej osobie”, jak nazwał Wyspiańskiego jeden z największych reżyserów i znawców teatru, Leon Schiller. Nasuwa się wów czas pytanie, czy wolno „po prawić” wielkiego twórcę, który dał w swym utworze oprócz tekstu szczegółowe didaskalia czyli objaśnienia i przypisy dotyczące wystawienia sztuki. I po co to robić?

Takie pytania nasuwają się zaraz po podniesieniu kurtyny na scenie Teatru im. Jaracza, gdzie zostało wystawione „Wesele”. Ujrzelismy bowiem rzecz niezwykłą! Za miast chaty bronowickiej ja kieś konstrukcję kubistyczne, sześcienny rozchodzące się skosem na prawo i na lewo od „izby”, „wnętrze chaty”, która miała co najmniej cztery wyjścia „w pole”, jak mówią ładnie krakowianie. Jeżeli miało to oznaczać Wyspiańskiego „teatr ogromny”, to było nieporozumieniem, gdyż „ogromność” „Wesela” polega na czym innym. I tutaj znów muszę się powołać na autorytet znawcy teatru, jakim był Adam Grzymała-Siedlecki, który pisał, że „najpołotniejszym fantazjom świata nie ustępował Wyspiański w darze tworzenia wizji. Po tęga jego wizyjności... docho dzia do wymiarów wprost olbrzymich”. Otóż, w tych konstrukcjach kubistycznych współczesnego scenografa zgubiły się istotne i ważne elementy dekoracyjne, którym scenograf Wyspiański poświęca w opisie Dekoracja dwie strony: „Świecica bielona



Barbara Wałkówna i Andrzej Głogowski.

Fot. A. Wach

sivo... zszeregowani Świeci obrazkowi... okienko przysłonięta białą muslinową firanczką... stół okrągły pod białym sutym obrusem... biurko, ponad biurkiem, fotografia Matejkowskiego Wernyhory... sofa wyszarzana... piec bielony do maści z izbą”, i tak dalej. W imię czego, chciałoby się zapytać, zostaliśmy pozbawieni obrazu pięknej izby bro

nowickiej, tak szczegółowo opisanej przez poetę i „artystę sceny”, obrazu stanowiącego organiczne tło rozgrywającej się akcji? Wreszcie, również w imię czego, i to wbrew wyraźnym didaskaliom, że „siomiane straszdyło ujmuję w niezgrabnej racye podane przez służbę patyki”, Chochół otrzymuje banalny rekwizyt — skrzypce? Podobnych uchybień można przytoczyć więcej. Przyczyniły się one (wraz z nieuzasadnionym połączeniem pierwszego i drugiego aktu w jedną całość) do zaprzepaszczenia wątku dramatycznego-wizyjnego, do przekreślenia sugestywnej wymowy aktu drugiego, który powinien zaczynać się według Wyspiańskiego następująco: „Świecniczki pogaszone; na

wątku wizyjnego, do nastroju grozy, wchodzi Chochół, a po nim — kolejne „postacie dramatu” czyli — zjawy. Odnoszę wrażenie, że reżyser opierał się na przestarzałych opracowaniach literackich „Wesela” z roku 1949, sprzed dwudziestu lat, w których wyrażano obawę, że „bogata symbolika i skomplikowane wizjonerstwo „Wesela” mogłoby zatrzeć realne kontury konfliktów dramatycznych”. Dziś nikt się nie zgodzi z taką opinią, gdyż nawet przy zastosowaniu do dramatu najsurowszych kryteriów klasowych i politycznych (jak tego chcieli ówczesni interpretatorzy) ani symbolika, ani wizjonerstwo nie zacierają treści ideowych i społecznych, jakie są zawarte w sensie dobitnych

wypowiedzi Dziennikarza, Radczyni, Księdza, Żyda i oburzonego Czepca: „To któż moich groszy złodziej, czy Żyd jucha, czy ksiądz dobrodziej?”

To tylko dla przykładu, gdyż inne wypowiedzi osób i postaci dramatu są nie mniej dobitne i jednoznaczne. Mam także do zarzucenia reżyse-

Państwowy Teatr im. Stefana Jaracza Stanisław Wyspiański „Wesele” Reżyseria i scenografia: Jerzy Grzegorzewski Muzyka: Stanisław Radwan

(K.F.)

## Polonica

POLSKIE BAJKI DLA DZIECI  
— PO FRANCUSKU

„Pewnego dnia pojedziecie może do Warszawy, zobaczycie nad brzegiem Wisły ładny pomnik. Jest to posąg Syrenki. Zobaczycie również drzewo, pochylone nad wodą...”

Taką uwagę znajdziemy na okładce jednej z „Świecic bajek dla grzecznych dzieci”, które opublikowało paryskie wydawnictwo „IS-TRA” (7 rue de Lille). Teksty tych opowiadań, przeznaczone dla małych dzieci francuskich wyszły spod pióra polskiej autorki, znanej współpracownicy warszawskiego „Expressu”, Ireny Lubaszewskiej. Oczywiście, opowiadania te są pięknie ilustrowane rysunkami trojga malarzy francuskich. Zastosowano przy tym aparat nowoczesnej pedagogii. Całość redagował Andre Mareuil.

„Gdy dorosniecie, pojedziecie zobaczyć miasto Kraków. Ujrzyście jego piękne ulice i wysokie wieże kościołów. Zobaczycie uroczą Wisłę, płynącą u stóp miasta. Na wzgórzu dostrzeżecie zamek królewski z wieżami i złotymi dzwonniami. To Wawel. Znajdźcie się tam również Smocza Jama.” Oto objaśnienie pod rysunkiem przedstawiającym dla dzieci francuskich wawelskie wzgórze. Piękny przykład literacko-pedagogicznej współpracy Francuzów i Polaków.

POLSKI NUMER „ZWIEZDY”

Znany leningradzki miesięcznik „Zwiewda” (Gwiazda) poświęcił swój ubiegłoroczny numer grudniowy prawie w całości literaturze polskiej. Znajdujemy w nim wiersze Władysława Broniewskiego, Juliana Tuwima, Jarosława Iwaszkiewicza, St. R. Dobrowolskiego, Mieczysława Jastruna, Stefana Flukowskiego, Jana Bolesława Ożoga, Anny Kamieńskiej, Małgorzaty Hillar, Czesława Kurlaty i Tadeusza Siłwiaka. W dziale prozy pomieszczono utwory Wojciecha Żukrowskiego, Jerzego Zawieyskiego, Jerzego Putramenta i Józefa Lenarta. „Zamietki o współczesnej polskiej prozie” (Uwagi o współczesnej prozie polskiej) ogłosił Lesław Bartelski. Na próżno w dziale poezji szukałbym nazwiska np. Mariana Piechała i Tadeusza Chrościelewskiego, a w prozie np. Leona Gomółskiego czy Jana Huszczy. Nie znaleźliśmy również tych i innych nazwisk w szkicu omawiającym twórczość pisarzy polskich.

Widomo, że w takich przypadkach informacji udziela strona polska. Powstałe więc pytanie, jak długo trwać będzie ta jednostronna informacja o tym, co dzieje się w piśmiennictwie naszego kraju i kto jest za to odpowiedzialny?

# Teatr i MUZYKA

ROZMAWIAMY  
Z ANDRZEJEM HUNDZIAKIEM

Najpopularniejszym chyba w tej chwili, granym w kilku teatrach kraju przedstawieniem, jest widowisko Lecha Budreckiego i Ireneusza Kanickiego „Dziś do ciebie przyjdź nie mogę”. Prapremiera odbyła się w Warszawie w Teatrze Klasycznym a dziś widowisko grane jest także w Łodzi, Wro-

clawiu, Kaliszu, a przygotowywane w Szczecinie i Zabrze. Inscenizacja pieśni wojskowych i partyzanckich, które śpiewali Polacy na wszystkich frontach walki z hitlerowskim najazdem okazała się materiałem wciąż żywym, poruszającym uczucia nie tylko pokoleń, które wojnę przeżyły. Także młodszych, znających wojnę z cudzych wspomnień i historii. 18 stycznia br. Teatr Klasyczny dał trzecie przedstawienie widowiska. Bilety są już wyprzedane do końca bieżącego roku. Odmówiono sprzedaży 30 tys. osób. Warszawski spektakl z dużym powodzeniem był pokazywany w Jugosławii i Związku Radzieckim, na wiosnę planowany jest następny wyjazd do ZSRR.

Pisząc wiele o idei przedstawienia, samym pomysłem i jego realizacji scenicznej, autorzy zapominają często o jednym z najistotniejszych elementów widowiska — muzyce. A przecież muzyka, wypełniająca 70 minut przedstawienia, współtworzy jego dramaturgię, uczestniczy w budowaniu napięcia emocjonalnego, swoistego niepowtarzalnego klimatu uczuciowego. Jej autorem jest muzyk łódzki — Andrzej Hundziak, kompozytor i pedagog. Nie było to zresztą pierwsze zetknięcie dyr. Hundzia-

ka z teatrem, przed laty współpracował z Operetką Łódzką.

Rozmawiamy o pracy nad muzyką do „Dziś do ciebie przyjdź nie mogę”. — Czy opracowanie strony muzycznej tego widowiska było zadaniem łatwym czy trudnym?

— To była na pewno praca interesująca, fascynująca, ale z wielu względów bardzo trudna. Pierwszą trudność stanowił fakt, że inscenizacja teatralna narzuca określoną, niewielką ilość instrumentów — dziesięć do dwunastu. Tymczasem widowisko wymagało różnych gatunków muzyki: akompaniamentu do piosenek wojskowych, orkiestry podwórkowej, muzyki tanecznej charakterystycznej dla Niemiec tamtego okresu itd. Mały zespół instrumentalny stwarzał niebezpieczeństwo monotonii. Aby tego uniknąć niektórzy wykonawcy zmieniali instrumenty, na przykład dwaj perkusiści posługiwali się chyba dwudziestoma instrumentami perkusyjnymi. Muzyka w wykonaniu orkiestry z chórem aktorów, nagrana została na taśmę, ale partytura ma jeszcze dwa instrumenty: skrzypce i trąbkę, które grają na żywo w czasie przedstawienia, na tle taśmy. Na tle muzyki z taśmy śpiewają również aktorzy,

co daje wrażenie, że chór składa się z podwójnej liczby osób.

— Ale to wymaga chyba idealnego rytmu przedstawienia i ogromnej dyscypliny ze strony aktorów? Każda, choćby drobna pomyłka, każde wyjście z rytmu, to dysonans między muzyką mechaniczną, a tokiem przedstawienia?

— Istotnie, jeśli spektakl idzie gładko, to widz nie orientuje się w udziale muzyki mechanicznej, każda sypka jest o tyle niebezpieczna, że demaskuje tajniki realizacji. Ale jednocześnie taśma pozwala aktorom na szybsze odnalezienie się w rytmie przedstawienia. Wydaje mi się, że właśnie dzięki tej taśmie magnetofonowej, w Warszawie po trzystu przedstawieniach, widowisko nie różni się prawie od premierowego.

— Wspomniał Pan na początku o szeregu trudności. Jakie były inne?

— Innym niebezpieczeństwem monotonii był fakt, że wszystkie piosenki wojskowe i partyzanckie śpiewane są w rytmie marsza, chociaż wiece o to, by nie zamęczyć widza tym rytmem.

Trzeba też było znaleźć rozwiązanie muzyczne dla tekstów śpiewanych przez ko-



# WSPOMNIENIA z poźółkłych Rocz- NIKÓW GAZET

Nie ma już gazeciarzy wykrzykujących na rogach ulic krzykliwe tytuły z „Republiki”, „Kuriera Łódzkiego”, „Głosu Porannego”... Nie ma gazeciarzy i nie ma tych gazet. Ale jest wspomnienie zachowane w pamięci starszych — wspomnienie o tamtej łódzkiej prasie, kóra już jest historią, wspomnieniem o ludziach, którzy tamte gazety redagowali... Mieszka w Łodzi pisarz i krytyk literacki, dla którego słynny z tuwimowskiego wiersza Antoni Książek nie jest legendą lecz szefem, dla którego poźółkłe roczniki „Kuriera” nie są historią łódzkiej prasy lecz wspomnieniem młodości. BOLESŁAW DUDZIŃSKI — bo o nim to właśnie mowa — wspomina:



Fot. W. Biliński

„Zaczynałem współpracę z gazetami w roku 1913, właśnie w „Nowym Kurierze Łódzkim” wydawanym przez Antoniego Książka, o którym Tuwim wspominał: „A jakiś Książek drukował mnie po dwie kopiejkę od wiersza”. Naczelnym był tam Witold Giełżyński. Redakcja była maleńka — zajmowaliśmy jeden pokój przy ul. Zachodniej obok hotelu Manteuffla. W sumie w „Nowym Kurierze” pracowali może pięć może sześć osób. To wystarczyło. Koko-rzycki zajmował się reporterką miejską, Beylin tłumaczeniami, felietony pisywał dr Zdzisław Mierzyński — ja byłem „do wszystkiego”, pisałem, robiłem korektę... I przy tak szczupłym zespole codziennie w południe czytelnik otrzymywał czterokolumnową gazetę. Dlaczego dopiero w południe? Taka była umowa między wydawcami. Składanie było wówczas ręczne — nie znano linotypów, drukarnie nie miały szybkich jak dziś maszyn rotacyjnych, a nocna praca ze-cerów kosztowała podwójnie. Aby uniknąć tych kosztów rozpoczynano druk rano.

Potem jednak łódzka prasa — jak zresztą w całym kraju — trochę się „zmodernizowała”. Gazet było coraz więcej; bibliografia Wiesławy Kaszubiny notuje setki tytułów, ale przecież oprócz prasowych efemeryd były jakieś gazety, które bardziej trwale wpisały się do dziennikarskiej geografii dawnej Łodzi? W szczytowym okresie rozwoju prasy łódzkiej, to jest na przełomie lat dwudziestych i trzydziestych, prasę łódzką reprezentowały następujące dzienniki: reakcyjny, endecki „Rozwój”; chadecki, z umiarkowanym odchyleniem sanacyjnym „Kurier Łódzki”; sanacyjna „Republika” i liberalny, postępowy „Głos Poranny”. „Kurier Łódzki” miał swą popołudniówkę — „Echo”, a „Republika” —

„Express”. Wychodził również tygodnik PPS-owski „Łódzianin”.

Oprócz wspomnianych dzienników polskich wydawano też w Łodzi — ze względu na strukturę narodowościową jej ówczesnych mieszkańców — dwa dzienniki żydowskie i dwa niemieckie. Jeden z dzienników wyrażał poglądy zasymilowanej, lojalnej wobec państwa polskiego części Niemców łódzkich („Neue Lodzer Zeitung”) drugi dziennik niemiecki („Freie Presse”) był organem nacjonalistów, nie mających nic wspólnego z polskością, którzy w okresie bezpośrednio przedwrześniowym odegrali haniebną rolę piątej kolumny.

Co się tyczy dzienników żydowskich, jeden z nich reprezentował sfery ortodoksyjne, drugi — syjonistyczne.

Gwoli ścisłości dodam jeszcze — mówi Bolesław Dudziński — że na początku lat dwudziestych (do końca 1922 r.) wychodził dziennik „Praca”, organ Narodowej Partii Robotniczej. Nieco później ukazywał się przez pewien czas tygodnik „Pravda”, organ Związku Przemysłowców Łódzkich. A na parę lat przed wojną zgasła naturalną śmiercią — po prostu z braku czytelników — reakcyjny „Rozwój”.

— Porzekadło mówi, że nie samą informacją żyje czytelnik gazety. Oprócz zatem gazet typu „Kuriera” — powiedział Szenwald dosłownie — istnieje „ostrzejszy klimat polityczny”, a w czynny prowincjonalnych władz sanacyjnych miałyby — być może — mniej gwałtowny charakter, czy nie dałoby się założyć właśnie w Łodzi lewicowego czasopisma literacko-społecznego, oczywiście — przy współpracy pisarzy stołecznych. Musiałby jednak rozczarować swego miłego gościa. To prawda, że w Łodzi był ostrze-

szy — bo „jednolitofrontowy” — klimat polityczny, co znalazło wyraz w zwycięstwie sił lewicy w najbliższych wyborach samorządowych. To prawda, że współpraca kolegów warszawskich byłaby układem bardzo cennym dla poziomu mającego powstać czasopisma. Ale — pomijając już trudności organizacyjne i administracyjne, będące wynikiem deficytu personalnego, brakowało by, niestety, takiemu wydawnictwu bazy materialnej, bez której pismo musiałoby stać się jeszcze jedną efemerydą.

Bo gdzie można by szukać mecenasów? Ci, którzy mieli pieniądze, nie wydawaliby ich na pewno na subsydiowanie lewicowych czasopism, zaś ci, którzy z takimi wydawnictwami sympatyzowali, pieniędzy nie mieli. — Reporter miejski Koko-rzycki z „Nowego Kuriera Łódzkiego”, o którym wspominał Pan na początku nie przeminął w Łodzi bez echa. W latach dwudziestych redagował pismo „Nowy Dekameron” o przedwzrostu podtytułu „tygodnik humory styczno-erotyczny” — Helena Kokorzycka natomiast była wydawcą szmiorawego piśmka „Wolna Myśl — Wolne Zarty”. Byli jednak chyba w łódzkim dziennikarstwie ludzie, którzy ten zawód traktowali nie tylko jak dobry interes.

— Wydawcą i właścicielem dziennika „Rozwój” był inż. Tadeusz Czajewski, który odziedziczył wydawnictwo (wraz z posesją i drukarnią przy Al. Kościuszki) po swoim ojcu — Wiktorem. Właścicielem wydawnictwa „Kurier Łódzki” był adw. Jan Stypułkowski, który przy współdziałaniu swego personelu redakcyjnego i administracyjnego „Kuriera”, zdobył dla tego dziennika dużą poczytność (dzięki rubryce ogłoszeniowej) podstawy materialne. Od 1924 do 1932 r. —

z pewnymi przerwami — pełnił w tym dzienniku funkcję sprawozdawcy teatralnego i plastycznego, nie krepowany przez redakcję w niczym przy wyrażaniu swych opinii i poglądów.

Co się tyczy „Głosu Porannego” i „Republiki”, wiadomo było powszechnie, że po za osobami formalnych wydawców stoją dwie konkurujące ze sobą grupy ówczesnych potentatów przemysłowych, których społecznym interesom służyły głównie działy gospodarcze wymienionych dzienników.

Spośród znanych i bardzo aktywnych w Łodzi międzywojennej dziennikarzy wymieniam naczelnego redaktora i czołowego publicystę „Kuriera Łódzkiego” — Czesława Gumkowskiego i niezłomnie pracowitego sekretarza redakcji tegoż dziennika — Stanisława Rachalewskiego. W „Głosie Porannym” na pierwszy plan wysuwał się wesolawy, dowcipny i niepozawalony talent literacki — Gustaw Wascercug (nb. mój kolega szkolny). Polityczne artykuły wstępne w „Republice” podpisywał Czesław Oltaszewski (prawdziwe jego nazwisko brzmiało: Marian Nusbaum). W „Expressie” główną rolę odgrywał Władysław Polak. Bardzo popularny w całym mieście i cieszący się ogólnym poważaniem był Aleksander Milker, współredaktor „Neue Lodzer Zeitung”, który przy każdej okazji dawał wyraz swemu przywiązaniu do polskości, a językiem polskim władał nienagannie. W Łodzi wszyscy go znali — choć by z widzenia — bo zawsze paradował w cylindrze i z kokardą zamiast krawata.

W warunkach przedwojennych, w okresie nie wykorzystanego analfabetyzmu, chrońniczych kryzysów gospodarczych, bezrobocia i biedy wśród szerokich mas społeczeństwa, nie można było nawet marzyć o tak wysokich

nakładach dzienników, jakie mają one obecnie. Nie trzeba przy tym zapominać, że w Łodzi — oprócz czterech dzienników w języku polskim — wychodziły cztery dzienniki obcojęzyczne, które zaspokajały potrzeby czytelnicze znacznej części mieszkańców naszego miasta. To też nakłady ówczesnych czterech polskich dzienników łódzkich nie przekraczały na ogół 20—25 tys. egzemplarzy, podnosząc się w dni świąteczne.

Tak, tak. Dzisiejszy czytelnik, który na niedzielnym wydaniu „Głosu Robotniczego” widzi czerwony nadruk — „nakład 400 tysięcy egzemplarzy” — na pewno w to nie uwierzy. A jednak to prawda. Cztery dzienniki polskie, dwa niemieckie i dwa żydowskie miały nakład łączny nie sięgający nawet połowy nakładu niedzielnego wydania „Głosu”.

Aż trudno ogarnąć ogrom drogi jaką odbyła łódzka prasa od tamtych ciasnych pokoiów redakcyjnych i przytulnych drukarek — trudno także w krótkim osobistym wspomnieniu ogarnąć całą złożoność historii łódzkiego dziennikarstwa. Należy jednak wspomnieć „Kronikę” — i tę z wiosny 1933 redagowaną przez Schleyena i tę po konfiskacie „Kronikę Dwu tygodniową” z lata tegoż roku redagowaną przez Zenona Kliszke.

Wiele się zmieniło. Przyszli nowi ludzie — czytelnicy i dziennikarze; przyszyły nowe maszyny — zjawia się nowa treść na gazetowych łamach... Nie wykrzykują już gazeciarze krzykliwych tytułów na rogach łódzkich ulic. Ale co rano idąc do pracy zatrzymujemy się przed kioskiem „Ruchu”, aby otrzymać codzienną porcję informacji, zamkniętą w czarne szeregi gazetowych szpał. Notował:

JERZY WILMAŃSKI

biety ze Skłobów o zagładzie wsi, owych autentycznych ballad wielozwrotnych, śpiewanych przez skłobianki po prostu jak godzinki. Tak na przykład do „Pieśni o zabiciu” napisałem muzykę na głos solowy z akompaniamentem jedynie kottów i werbli. Ballada ta jest bardzo trudna dla wykonawczyń, ale daje efekt, o jaki mi chodziło.

— „Dziś do ciebie przyjść nie mogę” podejmują coraz to nowe teatry w kraju, oznacza to, że realizatorzy widowiska, w tym także Pan, nie mogą się z nim rozstać?

— Nie tylko teatry. Reżyser Kanicki pracuje obecnie nad filmem telewizyjnym pod tym samym tytułem. Scenariusz jest już gotowy, film ma być zrealizowany na 1 lipca br. Nie będzie to jednak przeniesienie przedstawienia na taśmę filmową. Film będzie trwał 70 minut i reż. Kanicki pomyślał go raczej jako widowisko poetyckie. Autorem zdjęć będzie Jan Laskowski. — Dla Pana to chyba prawie nowa praca?

— Tak, dla filmu grać będzie wielka orkiestra symfoniczna — Filharmonii Narodowej lub WOSPR no i śpiewać zawodowy chór. To daje zupełnie inne możliwości dla opracowania muzycznego.

— Ogląda Pan wszystkie przedstawienia tego widowiska w kraju, jak na ich tle ocenia Pan łódzkie?

— Jest niewątpliwie najlepsze po warszawskim. W warszawskim jest może więcej indywidualności aktorskich, więcej może osobistego zaangażowania wykonawców. Niemniej w Łodzi niektóre sceny są zdecydowanie lepsze niż w Warszawie. O ile mi wiadomo, reż. Kanicki ma zamiar zaangażować do filmu niektórych łódzkich aktorów.

— Słyszałam, że wkrótce wyjeżdża Pan do Wiednia. Można zapytać z jakiej okazji?

— Otrzymałem zawiadomienie od Wiener Konzerthausgesellschaft że moje „Liryki” będą 25 lutego wykonane w Filharmonii Wiedeńskiej z Emiko Iijama w partii solowej — po prostu jadę więc na ten koncert.

— Przy okazji — jaki jest Pana dorobek kompozytorski w ostatnim okresie?

— W ubiegłym roku wydałem Suitę orkiestrową „Marcholt” do tekstu R. Brand staedtera, w tej chwili kończę operę „Mały Książek” do libretta według Saint-Exupéry’ego. Ta opera zajęła mi prawie trzy lata, ale w tej chwili brak mi już tylko kilku stron partytury. Napisałem również dla

łódzkiego zespołu „Pro Musica” utwór do aforyzmów Chamforta pt. „Maksymy”. Wykonanie odebrzę się w kwietniu br. No a poza tym rzeczy drobniejsze, związane z moją pracą pedagogiczną: miniatury na akordeon „Śpiewy i rytmy”. a w tym roku wydaję „Cyryk” — zbiór miniatur fortepianowych dla dzieci.

— A propos, ponieważ jest Pan i czynnym muzykiem i pedagogiem, korci mnie, by w tej rozmowie poświęconej innym sprawom, zadać Panu przy okazji pytanie: jak ocenia Pan działalność tzw. młodzieżowych zespołów muzycznych i cały ten ruch pleniący się tak bujnie?

— Jest to przede wszystkim poszukiwanie mocnych wrażeń, głównie chyba pozamuzycznych. Rytm, siła, decybel, atak na system nerwowy — to główne cechy tego ruchu. Podobny efekt można by uzyskać w hali fabrycznej, gdyby stopniować nasilenie dźwięków. Elementem pozamuzycznym jest także przebieganie się, pisywanie, drgawki itp. efekty wizualne stosowane przez te zespoły. Muzyka jest tu bardzo prymitywna. Aranżacja opiera się stale na tych samych elementach: gitara basowa, gitara prowadząca i akompaniament. Gitara została już całkiem spostonowana, gra się na niej jednym palcem. Żeby to

wszystko jakoś usprawiedliwić dorabia się do tego pseudopatriotyczne teksty, albo jeszcze gorzej — sięga do klasyków poezji, którzy niestety nie znajdują się pod ochroną.

Ten ruch przyszedł do nas z Zachodu, gdzie wiele młodzieży zarabia na życie pracą fizyczną (zbieranie śmieci, rozładowywanie samochodów) nie dającą satysfakcji moralnej. Ci młodzi nie mają warunków na uczenie się muzyki, bardzo tam drogie. Stworzenie zespołu wymagającego minimalnych umiejętności daje szansę na stanie się „kims”, zdobycie popularności, zwrócenie uwagi, stworzenie indywidualności.

U nas moda ta obejmuje przede wszystkim 13—16-latków. Jest charakterystyczne, że nie włączają się tu muzycy zawodowi.

— Czy młodzież szkół muzycznych interesuje się tym ruchem?

— Mają te ciagoty uczniowie słabsi. Jeśli któraś z klas wyraża życzenie stworzenia zespołu rozrywkowego, nie bronimy. Te zainteresowania mijają w miarę dorastania.

— Dziękujemy za rozmowę i interesujące uwagi.

Rozmawiała: TERESA WOJCIECHOWSKA

## Czy „Chłopaki“ były fajne?

Kiedy byłem małym chłopcem słowo „fajny“ wchodziło w skład języka sżubackiego. „Ale fajnie, nie idziemy dziś do szkoły!“ — mówiło się wtedy, jeśli niespodziewanie zawieszono lekcję z powodu grypy lub dużego mrozu. Zródłostów jest niemiecki. Fein to znaczy subtelny, delikatny, upolerowany, misterny. Feine Leute to tyle co elegancki świat.

Jak widzimy więc słowo to w niemieckim łączy się raczej z uczuciami wysublimowanymi, z przedmiotami sztywnymi. Dodanie jednak polskiej końcówki i wprowadzenie do gwary szkolnej odebrało mu elegancję i urodę, uczyniło zeń jeden z brzydkich neologizmów zaśmiejących nasz język (jak „sztymuje“, czy „witraster“).

Ale oto słowo to przeżywa dziwny renesans. Weszło do żargonu naszych sfer intelektualnych. „Jaki film zrobił Edek?“ „Fajny.“ W tym słowku zakłęty jest ton pochwały jednocześnie z pewnym zazenowaniem, bo wszak na określonym poziomie nie należy się entuzjazmować. Przed paru laty, gdy coś trafiło do przekonania, intelektualści (i pseudointelektualści) używali słowa „ładny“. „To ładne“ — mówiło się w kinie czy w teatrze ze specjalną intonacją, która świadczyła, że tylko niechęć do obnażania uczuć zmusza mówiącego do nieuczucia jakiegos suporiatywu.

A teraz karierę robi „fajny“. W filmie Wajdy „Wszystko na sprzedaż“ słowko to pada z częstotliwością wręcz szokującą. Ledwie ktoś z artystów czy przyległego im światka, chce coś określić precyzyjnie i natrafia na trudność ze znalezieniem odpowiedniego słowa, natychmiast pojawia się zbawenny substytut. Fajny.

Więc czy „Chłopaki“, widowisko według „Ballad Lipieckich“ Ernesta Brylla nie było fajne? Chłopcy — bohaterowie tej inscenizacji Ludwika René i w interpretacji W. Kowalskiego, J. Koniecznego, A. Kozaka i A. Antkowiaka — nie byli fajni. Byli autentyczni.

Tu nie chodzi tylko o słowa i o moją niechęć do modnego wyrażania, której dałem wyraz na wstępie. Ze słowkiem „fajny“, dzięki filmowi Wajdy, kojarzy mi się właśnie snobistyczny, wytworny i tandetny zarzem, znudzony i preintelektualizowany, cierpiący na przesyłt wrażeń i pogardliwy w stosunku do ludzi spoza środowiska. To jest właśnie świat, a raczej światek fajny.

Natomiast świat Brylla jest, powtarzam, autentyczny. Tworzą go młodzi ludzie ze wsi, garnczyki trochę zwiłłowio do cywilizacji miejskiej, a tkwiący jednocześnie w wiejskiej tradycji. Decydująca dla tych chłopców jest uczciwość w stosunku do własnych uczuć i bezkompromisowość w ich realizowaniu.

Upór, z jakim młody żołnierz zdradzony przez ukochaną chce się zastrzelić, albo z jakim chłopcy w koleżeńskich czapkach utrzymują urzędowy dystans wobec kolegi, który złamał przepisy kolejowe, albo wreszcie z jakim innym młodzieńcem nie decyduje się pójść do „miastowej“ sympatii, gdy w słuchawce usłyszał jakiś męski głos — w tym tkwi wspólna im wszystkim prawda i nonkonformizm.

Prawda, że postawa lipieckich suchów nie zawsze prowadzi do czynów, które można zaakceptować. Grupa chłopców, która postanowiła ukarać meza bijącego ciężarną żonę, wykonuje to w sposób bezlitosny (byłoby tylko nie zabić), katusząc delikwenta bez pardonu. A przecież jest w ich postawie coś ciepłego, lirycznego niemal. Nawet owo okrutne bicie jest na swój sposób sympatyczne, bo sprawiedliwe, w imię humanizmu.

Wydało mi się, że Bryllowi udało się znakomicie zgromadzić obserwacje, które sygnalizują przemiany, zachodzące w młodym pokoleniu na naszej wsi. To jego „chłopcy“ są autentyczni, a nie zrobiona na idiotkę młodzieżka dziewczyna w filmie Wajdy, która postanowiła zostać aktorką filmową. Wejść w „fajne“ towarzystwo.

A teraz, kiedy rozprawiam się — przynajmniej w moim mniemaniu — ze sprawą „fajności“, parę uwag o inscenizacji Renégo. Reżyser sam dokonał adaptacji opowiadań Brylla. Nie posiadał przy tym na przystosowanie tekstu do teatralnego schematu, René tworzy widowisko będące czymś pośrednim między czytaniem literatury a inscenizacją.

Za przykład może posłużyć opowiadanie o niedoszłym samobójcy. René rozgrywa je równoległe w dwóch planach. Jeden — współczesny — w którym dwóch żołnierzy ex post rozmawia o próbie samobójstwa kolegi. W momentach jednak, kiedy opowiadający cytuje słowa niedoszłego samobójcy, następuje miks na zdradzonego kochanka, który nieco dziecinnie ale z chłopiskim uporem przeżywa swój dramat. Tak więc dialog został przez Renégo oddzielony od narracji. Nie ma typowej retrospekcji, tylko personifikacja cytowań w opowiadaniu.

Uważam, że taka próba przeniesienia literatury do telewizji jest godna uwagi. Wciąż jeszcze szuka telewizja specjalnych środków wyrazu. Renému udało się na tej drodze poszukiwać pokazać coś interesującego.

Władysław O'Connell



Zenon Wasilewski  
— „WYPEDZENIE  
DEMONA“  
(rysunek)

### IGNACY GUSTAW

### ROMANOWSKI

## Malarstwo Wasilewskiego

Jeżeli malowanie ma na celu wytworzenie stosunku uczuciowego między obrazem a widzem, to łódzki plastyk Zenon Wasilewski cel ten osiągnął bez trudu. Niewielki dorobek malarski tego artysty pokazany na wystawie pośmiertnej w Ośrodku Pro pagandy Sztuki, wywiera za skakujące wrażenie odmiennością stylistyki i odrębnym, rzadko spotykanym w polskiej sztuce współczesnej klimatem fantastyczno-groteskowej wizji plastycznej. Ma larstwo temu patronuje nad realizm, ale wbrew powierzchownemu wrażeniu, formułę tego stylu ukształtował Wasilewski całkowicie oryginalnie, tworząc rzeczywistość plastyczną, tak bardzo różną od bieżących prezentacji artystycznych. A obra zy te przecież powstały w okresie zaledwie trzech lat przed śmiercią artysty.

Różnymi drogami chadza świadomość artysty co do wyboru formy i sposobu wypowiedzi twórczej, różny kształt obiera potrzeba tworzenia. I chyba przykład Ze

nona Wasilewskiego jest to go najlepszą ilustracją.

W latach trzydziestych jeszcze jako student Uniwersy tetu Warszawskiego nawiązu je współpracę z redakcjami „Cyrulika Warszawskiego“ i „Szpilek“ i aż do wybuchu wojny drukuje na łamach tych pism rysunki satyryczne i drapieżne karykatury polityczne. Tuż przed samą wojną pociągnie go również film lalkowy i temu zajęciu poświęci Wasilewski całą swoją powojenną działalność artystyczną, po to aby dopie ro pod koniec życia sięgnąć do wypowiedzi malarskiej. Być może, że okres ten spędzony nad realizacją wielu autorskich filmów lalkowych dla dzieci i dorosłych, kształ tował wyobraźnię malarską twórcy, i że wyraz tego malarstwa wynikał z tamtych doświadczeń zdobywanych przy projektowaniu i animacji. Myślę jednak, że to zmęczenie wywołane ograniczo ną i często płytką formą fil mu lalkowego, spowodowało u Wasilewskiego potrzebę bardziej osobistej i głębszej twórczości. I tak rozpoczęła się ta ciekawa przygoda malarska, której bohaterem był właściwie samouk.

Nie jest to malarstwo nowej formy. Powierzchnowy odbiór niektórych prac, jak „Most“, „Panika“, „Inwazja“, przywodzących dalekie skoja rzenia różnych pierwowzórów (Giorgio del Chirico, Da li, czy Bosch), mogłyby wywołać wrażenie pewnej wtórności. Są to jednak tylko a-

socjacje nie mające większe go znaczenia dla istoty sztuki malarskiej Wasilewskiego. Bo istotna jest tu wizja i sto sunek twórcy do kreowanej rzeczywistości malarskiej.

Większość prac malarskich (i szkiców, z których obra zy już niestety nie powsta ły), w poetyckiej choć czę sto okrutnej formie, zawiera problem rozrachunkowy z własną przemierzoną już dro gą życiową. Jest to bowiem, wbrew może pozorom, sztu ka bardzo osobista a nawet intymna. Odmienne jest natomiast, miejsce samego auto ra. Tu artysta nie utożsamia się bezpośrednio z tworzoną wizją. Modeluje ją z dystan su, którego nigdy nie usiłu je skracać. Stąd w twórczości tej nie ma śladu miododerii, której ustrzegł się Wasilewski za pomocą auto ironii.

Dlatego też, czy będzie to liryczna i bolesna wizja „Po grzebu młodości“ i „Wizyty“, czy okrutna i groteskowa „Inwazja“ czy też pełen refleksyjnego spokoju „Wie czór“ — nie znajdzie się tu miejsca na patos. Zbyt wielki jest bowiem świadomy dy stans między twórcą a dzie łem.

Jest na wystawie trochę prac niepotrzebnych, na tle wartościowych dzieł artysty prezentujących się źle i ma jących znaczenie może tylko jako niezbyt udane próby. Myślę tu o „Portrecie“, „Pej zażu urojonym“, „Pejzażu nie z tej ziemi“ itp. Nie wy wierają one żadnego wraże nia. Obawy organizatorów

wystawy, aby dorobek malar ski artysty nie okazał się zbyt skromny i w związku z tym decydujących się na pokazanie nie najlepszych no szuików twórczych, były nieuzasadnione.

Stusnie natomiast pokaza no kilka świetnych karykatur politycznych, które w swoim języku plastycznym nie utraciły nic na aktualności. Niewielu karykaturystom udało się bowiem tak mocno zohydzić molocha fa szyzmu, jak to uczynił Wasilewski poprzez potworno-groteskowe wizerunki Hitle ra i Mussoliniego.

Osobną część wystawy sta nowią projekty lalek i scenografii filmów lalkowych zrealizowanych przez Zeno na Wasilewskiego w Studio „Se—ma—for“ w Łodzi. To dzięki jego energii i wszech stronnej działalności jako scenarzysty, projektanta lalek i reżysera, film lalkowy zajął po wojnie trwałą pozycję w polskiej kinematografii.

Nie będzie chyba jednak przesady w stwierdzeniu, że to największe miejsce, jakie zostawia po sobie artysta, przypadło malarstwu, któremu tak niewiele czasu poświęcił Zenon Wasilewski.

\* Zenon Wasilewski (1903—1966) — Wystawa malarstwa, rysunku, scenografii — Ośrodek Pro pagandy Sztuki w Łodzi — Sty czeń, luty 1969 rok.

## O FILMACH DOBRZE I ŹLE



Recenzje krytyków włoskich oceniających film Carlo Lizzanego „GORZKIE ŻYCIE“ podkreślały fakt, iż film ten będąc adaptacją książki Biancardiego zubożył i upro ścił pierwowzór, który uznano za znakomity pamflet socjologiczny i utwór podejmujący ważką problematykę wpływu „cudu gospodarczego“ na los jednostki ludzkiej zatracającej swą indywidualność w momencie wejścia w tryby wielkiej machiny społeczeństwa przemysłowego. Widz polski, nie znając książki Biancardiego ma do czynienia wyłącznie z dziełem filmowym i tylko je poddaje ocenie.

Patrzymy zatem na filmowe „Gorkie życie“, utwór interesujący bez względu na jego wierność wobec literackiego pierwo wzoru.

Zrealizowany w 1964 roku film Lizzanego jest satyrycznym obrazem społeczeństwa konsumpcyjnego i jednostki bezwolnie poddającej się oddziaływaniu rewolucji przemysłowej przekształcającej kraj

w „ziemię mlekiem i miodem płynącą“. Nierównomiernie przeobrażeń ekonomiczno-socjologicznych, wobec możliwości jed nostki pragnącej zachować swe własne „ja“ została zilustrowana satyryczną opowieścią o jednym „zbuntowanym“. Opowieść to gorka, o czym mówi wzięty w cudzysłów tytuł filmu. Nie tak wiele gorczy zaznał w swym życiu bohater filmu Luciano Bianchi (znakomity Ugo Tognazzi), w każdym razie szybko się z nią pogodził i znalazł drogę by ją ominąć. Zbuntowany przeciw złu, pełen ideałów Bianchi przybywa do Mediolanu, by zniszczyć to, co jest w jego oczach symbolem zła — potężny gmach Towarzystwa, którego ofiarami stali się górnicy, których śmierć pragnie pomścić bohater. Od tego momentu możemy już pisać o owym przepięknym, cudownie zmechanizowanym (w sensie dosłownym i przenośnym) wieżowcu jako o Gmachu pisanym dużą literą. Od początku mediolańskich przygód bohatera, aż do ich zakończenia Gmach towarzy-

szy Bianchiemu, jest symbolem „cudu gospodarczego“ i komercjalizacji życia, jest symbolem życia instytucjonalowanego, w którym każde ludzkie działanie podporządkowane zostaje racji nierozszyfrowanej, za którą kryje się jednak mit materialnego dobrobytu, mającego uszczęśliwić ostatecznie każdą jednostkę społeczeństwa.

Na naszych oczach bohater mający uosabiać ideę krytyki anonimowej szczęśliwości, przeobraża się w uosobienie zyciowego oportunizmu, którego znakiem wywołującym staje się pogon za materialnym dobrobytem. Ta zyciowa degrengolada bohatera „Gorkiego życia“ ukazana została w formie satyrycznych obrazów, nieomal skeczów, których prezentacji dokonuje narrator w osobie samego Bianchego. Przy okazji autorzy filmu uzyskują możliwość zaatakowania innych przejawów życia we Włoszech, w kraju „cudu gospodarczego“. Bianchi jest reprezentantem środowiska in-

telektualistów; jego żalose sprzedanie się branży reklamowej za cenę mieszkania, samochodu, słowem zyciowego komfortu, ma zilustrować niebagatelny problem etyczno-socjologiczny. Jego życie prywatne staje się okazją do zasygnalizowania pewnych typowych społecznie norm moralno-obyczajowych. Przeciwnieństwie jego początkowo anarchistycznej postawy działaniu zorganizowanemu kompromituje w filmie jedno i drugie. Jak widać Lizzani pragnął w swym „Gorkim życiu“ ogarnąć mnogość problemów związanych z historią człowieka zatracającego swą indywidualność w momencie wejścia w tryby wielkiej maszyny społeczeństwa konsumpcyjnego, będącego niejako produktem technicznej cywilizacji. Ta mnogość problemów nie pozwoliła autorom dokonać analizy głębszej, jednakże ten notatnik satyryki nie tylko bawi, zmusza też do refleksji i mimo wszystko akceptuje jedną prawdę — prawo człowieka do wyboru.

## O FILMACH DOBRZE I ŹLE



Przenosząc sprawę wyboru na płaszczyznę spraw mało poważnych, w tym przypadku recenzentki propozycji, pozwól sobie zrzec się przekonania o tym, co w aktualnościach filmowych wybrać należy. Warto obejrzeć „Gorkie życie“, warto również zakosztować relaksu przy okazji obrazu „życia słodkiego“, czyli fil-

mu Williama Wylera „JAK UKRASC M LION DOLAROW“. Ponieważ nie kradnie się tego miliona na serio, nie możemy sobie odmawiać przyjemności uroczej, filmowej zabawy. Kto pamięta autora „Rzym szych wakacji“ i czarującą ich bohaterkę, niechaj bieży na film Wylera z niezawodną Audrey Hepburn i pierwszy raz u nas

oglądanym, modym Peterem O'Toolem Wyler — zdobywca niezliczonej liczby Oscarów, mistrz filmowej sztuki reżyserskiej, znakomity dyrygent zespołowych i solowych występów aktorskich jeszcze raz przekonuje nas o sensie i potrzebie filmowej rozrywki zrealizowanej z kulturą, elegancją, bogactwem pomysłów. „Jak

ukraść milion dolarów“ to na pewno nie szczyt możliwości Wylera, to, powtarzając słowa angielskiego krytyka najbardziej anonimowy film tego reżysera. Zabawa po zostaje jednakże zabawą, a więc warto zobaczyć jak się kradnie milion.

EWA NURCZYŃSKA

# Kto, co, kiedy?

relacje

niedyskrecje

## KARTY DO GRY A SZTUKA

Gra w karty znana jest od dawna. We Francji karty do gry były już w powszechnym użyciu w wieku XIV.

Jean-Pierre Seguin, kustosz



Walet treflowy. Projekt Soni Delaunay.

francuskiej Biblioteki Narodowej opracował i wydał encyklopedyczną książkę o kartach do gry. Opracowanie zawiera dokładną analizę wpływu zmian ekonomicznych, socjal-



Dama pikowa. Karta z XVI w.

nym i politycznych na ich wygląd. W cytowanej pracy jest też rozdział zatytułowany: „Karty do gry i wizja plastyczna”. Autor stwierdza, że wielu artystów zajmowało

się projektowaniem kart. I tak np. w czasach nowszych zajmowali się tym ok. roku 1910 kubiści, a później tacy znani malarze jak Dufuffet czy Sonia Delaunay.

## MOLIER W CHICAGO

Skorygowany „Mieszczanin szlachcicem” Moliera święci swe triumfy w chicagowskim teatrze. Korekta polega na tym, że pan Jourdain, bohater komedii, nazywa się Al Giordani, nie uczy się mówienia wierszem, za to uczy się po francusku, a jako dawny rywal Al Capone'a, aby móc dostać się do wyższych sfer towarzyskich, próbuje za pominięciem o źródlach swego bogactwa, zbudowanego na handlu alkoholem w okresie prohibicji.

Córka bohatera sztuki pragnąc wyjść za mąż za swego adoratora prezentuje mu swego ojca jako lorda.

„Poza tymi kilkoma detalami — stwierdza pobłażliwie autor notatki w „Les Nouvelles Littéraires” — sztuka pozostała jednak molierowska.

Przy okazji wspomnijmy, że na podstawie komedii „Mieszczanin szlachcicem”, André Raoul nakręca film w Monte Carlo. Bohaterem będzie również „skorygowany” pan Jourdain. W filmie pt. „Mieszczanin szlachcicem” bohater nazywa się

Genty i podobnie jak pan Jourdain marzy o tym by wejść do świata, który nie jest jego światem. W tym przypadku bohater chce dostać się do socjety przestępczej. W związku z tym przechodzi specyficzne przeszkolenie m. in. uczy się strzelać, mówić językiem świata przestępczego, nabywać wprawy w kradzieżach itp.

Pierwszy „występ” tak skorygowanego pana Jourdain przynosi mu całkowity sukces. Na dłuższą jednak metę jego zamiar nie udaje mu się.

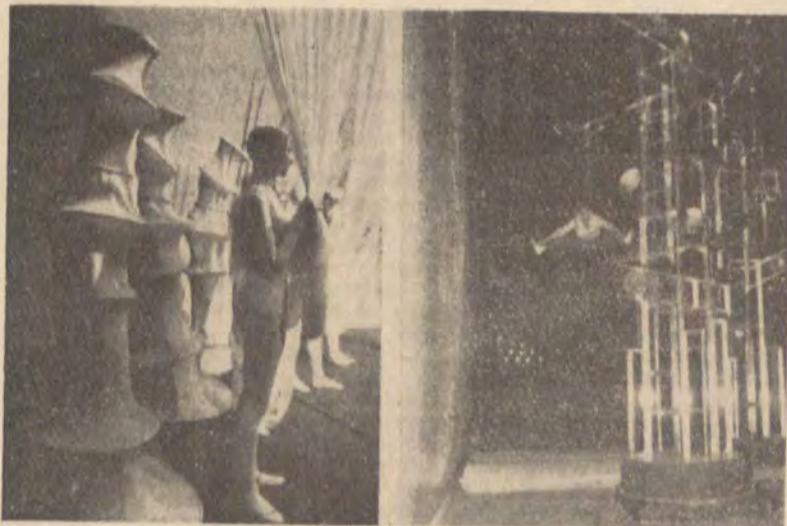
## NIEZWYKŁA OPERA DLA DZIECI

O hamburskim przedstawieniu operowym przeznaczonym specjalnie dla dzieci informuje zarówno hamburski miesięcznik „Der Spiegel” jak i szwajcarski dziennik „Journal de Genève”. Opera ta bowiem została wystawiona niezwykle oryginalnie i to zarówno jeśli chodzi o muzy-

kę jak i stronę plastyczną (ruchome dekoracje, przeróżne efekty świetlne, doskonały balet).

Autorem muzyki i libretta oraz reżyserem jest Amerykanin włoskiego pochodzenia, niemiecki Szwajcar — jak to podkreśla „Journal de Genève” — urodzony w Cadelgiano na brzegach jeziora Lugano, Gian Carlo Menotti. Gian Carlo Menotti jest dziś ostatnim (wraz z Raffaelem Banfieldem), jak twierdzi „Journal de Genève”, reprezentantem szeregu kompozytorów takiej klasy jak Monteverdi, Wagner, Puccini czy Verdi. Duży wpływ na twó-

rczość Menottiego wywarły film i telewizja. Opera ma tytuł: „Na pomoc, na pomoc, Globolinki!” Jest to niezwykle opowieść o dzieciach i dla dzieci. Oto z kosmosu przybywają na ziemię dziwne istoty. Zatrzymują one wszystkie pojazdy, a napotkanych ludzi przemieniają w Globolinki. Globolinki nie potrafią już mówić zwykłym, ludzkim głó-



## 150-LECIE URODZIN JOHN RUSKINA

W dniu 8 lutego przypada 150 rocznica urodzin Johna Ruskina (1819—1900) angielskiego pisarza, krytyka i teoretyka sztuki, socjologa głoszącego idee zbliżone do socjalizmu utopijnego.

W związku z tą rocznicą Radio Francuskie w programie France-Culture nadało audycję poświęconą wzajemnym stosunkom angielskiego pisarza z francuskim pisarzem Marcellem Proustem.

Marcel Proust od roku 1895 zachwycał się twórczością Ruskina, a nawet przetłumaczył na francuski dwa jego dzieła. W słuchowisku wykrzystano niepublikowaną dotąd korespondencję między Ruskinem a Proustem, listy Prousta do matki oraz inne teksty obu pisarzy.

sem, a mogą wydawać jedy nie dźwięki muzyki elektronicznej. Grupa dzieci, która jedzie na wycieczkę autobusem, zostaje zatrzymana przez przybyszów z kosmosu i przemieniona w skrzydlate Globolinki. Istnieje jeden tylko środek pozwalający na zwyciężenie dziwnych istot z nieznanego świata — śpiew i muzyka na tradycyjnych instrumentach. Gdyby któraś z dzieci, przemienionych teraz w Globolinki mogło zaśpiewać lub zagrać na jakimś instrumencie byłoby uratowane i powróciłoby do swych normalnych postaci. Niestety Globolinki mogą się odzywać jedynie tonami muzyki elek-

trycznej instrumentów i śpiewie, dzieci przestają być Globolinkami, a dziwne istoty pozaziemskie uciekają z naszej planety.

Opera jest rodzajem baśni, a równocześnie satyrą i zabawną opowieścią o walce muzyki elektronicznej z tradycyjną. Z zapasów tych ludzkich śpiew i muzyka na tradycyjnych instrumentach wychodzą zwycięsko.

Ten oryginalny spektakl pełen różnorodnej muzyki, od skomalonego baletu, oryginalnych rozwiązań plastycznych, gry światła, podobal się dzieciom i dorosłym. Wzbudził też żywe zainteresowanie kry-

tyki.

Wiem, że zaledwie zasłyną lizowałem tu pewien problem — nie nasz polski tylko, kokietowanie nastolatków odbywa się na całym świecie. Pal licho zresztą kokietery, gdy by jej efekty były pozytywne — ale przecież myślę, że jest to postawa bardzo anty wychowawcza, rozpleszczająca, postawa na skutek której młodzieży — mówiąc językiem prababek — przewracają się w głowie. Jest to problem dla nas Polaków no wy. Nie zapominajmy, że po raz pierwszy od wielu pokoleń weszła w dorosłe życie generacja, która nie wie co to wojna, głód i nędza. To nie slogan — to prawda. Wreszcie po dziesiątkach wojen i powstań, jakie przewalały się przez Polskę wyraża druga pokojowa generacja — owe właśnie nastolatki. Jest więc na pewno powód do szczególnej uwagi — ale nie upodabnamy się do matki, która woła do synka: „Kaziu, nie bij tego chłopca bo się spocisz!”

JERZY WIDOK

# Bez strachu

SOKRATES

Odwiedza mnie niekiedy w mieszkaniu Sokrates, aby przemówić ze mną wieczór czy dwa. Pamiętam, że przychodził z ciepłych krajów i sadzam przy piecu, pamiętam, że lubił wino i stawiam przed nim kieliszek. Dziękuję skinięciem i pije. Wpatruję się w mgotliwie błękitną głowę Sokratesa, i jego dobre psie oczy, gruby nos i wargi, w fałdy zaniedbanej brody. Myślę kim ty jesteś i kim ty byłeś kamieniarzu? Gdzie są twoi bracia, rzemieślnicy z Aten, których przemijający gniew wykorzystajesz zżęcznie by ponieść męczenną śmierć z ich ręki? Co czują wobec tej złej niesokratycznej drwiny — czy wiedzą, czy wiedzieli kiedykolwiek jak dalece zostali oszukani przez dobrociwego mędrca? Tutaj jest prawdziwy mrok i sztuczne światło, tam był jasny słoneczny rynek w fałch ciepłego wiatru, proste obyczajy i niebo bez tajemnic nad głową. Sokrates był człowiekiem, kim nie był Sokrates? Pojęciem w syllogizmie, starym wiozącym, obwisłym dostojnym według publicznie udowodnionej i sprawdzonej miary. To Bóg Sokratesa był Bogiem słowa, Bóg Szekspira i Dostojewskiego jest Bogiem milczenia — go rzej Bogiem półmilczenia — wydaje nam się tylko, że go znamy. Bóg Sokratesa powiedział publicznie co sądzi o Sokratesie i Sokrates powiedział publicznie co sądzi o swoim Bogu. Powiedział też Sokrates swoje zdanie o ludziach ludziom i usłyszał ich słowo o sobie — wszystko było jasne — nawet śmierć, bowiem Sokrates pogadał sobie ze śmiercią, powiedział jej cze go sobie życzył od niej, a śmierć powiedziała mu co może mu dać — zgodził się ze sobą, a nawet polubił wzajemnie — przeżycyści aniołek nierozciągliwy w przostreni miał wyjść z Sokratesa po wypiciu cykuty... Jego myśli zapisać mieli uż mowie, ale niedokładnie bo byli niezmiernie różni od Sokratesa — Jeden uczeń był wielki — większy od Sokratesa i dlatego nie rozumiał myśli, inni byli mniejsi od Sokratesa i dlatego nie zrozumieć. Nie rozumieć także Sokratesa sądziłowie i kaci — to największa pycha zabić Sokratesa, a kto pyszny ten głupi. Wielkiej jasności towarzyszyła wielka ciemność. Sądy zostały wypowiedziane, ale nierozumiane. Sokrates sądził, że jego światło świeci powszechnym, ponadczasowym blaskiem, blaskiem wszechprzeźrannym. Czy Sokrates mówił do Ateńczyków, czy do wszystkich ludzi? Wiele wskazuje na to, że Sokrates mówił do wszystkich chociaż nie był rozumiany nawet przez najbliższych. W moim domu Sokrates milczy i wtedy zaczynam go rozumieć.

BERNARD SZTAJNERT

# Pojednanie

W ciemnym lesie, gdzie na wschodnim zboczu gór, człowiek stał nasłuchując, jak gdyby spodziewał się, że jakieś dzikie zwierzę pojawi się w zasięgu jego strzelby. Lecz ofiara której wypatrywał, nie figurowała w żadnym spisie łowieckim: Ulrich von Gradwitz patrolował las w poszukiwaniu człowieka.

Lasy należące do Gradwiza były gęste, wielkie i pełne w nich było zwierzę. Wąski, urwisty pas leśny, który je otaczał, nie odznaczał się bogactwem zwierząt ani możliwością dobrych polowań, lecz mimo to był najgorliwiej strzeżonym kawałkiem posiadłości. Słynny proces sądowy, datujący się z czasów dziadka Gradwiza wyrwał ten pas z rąk sąsiadującej rodziny drobnych posiadaczy ziemskich. Ci nie po godzili się nigdy z orzeczeniem sądu i raz po raz wybuchaly sprawy o kłusownictwo a inne skandale doprowadziły do dzikiej nienawiści, ciągnącej się już od trzech pokoleń. Wojna między rodzinami stała się osobistą sprawą ambicji od chwili, gdy Ulrich stał się głową rodziny. Nienawidził szczerze Georga Znaemy, porywacza zwierzę, najędzcy sporego pasa lasu. Może do szliby do jakiegoś kompromisu, gdyby nie dzieliła ich zła wola. Łaknęli wzajemnie krwi, każdy modlił się, aby nieszczęście spadło na sąsiada i tej zimowej nocy Ulrich zwołał, swoich leśniczych, nie aby tropili dzikiego zwierza, lecz by wypatrywali dwuozonnych złodziei, którzy mogli się przekraść do jego lasu. Coś nie pokojącego wisiało w powietrzu.

Ulrich zagłębił się w gęstwinę drzew marząc o tym, aby napotkać swego wroga. I nagle zza wielkiego drzewa wyłoniła się postać Georga Znaemy.

Dwaj wrogowie przez dłuższą chwilę wpatrywali się w siebie milcząc. Każdy z nich miał w ręku strzelbę, każdy nosił w sercu palącą nienawiść, każdy myślał o morderstwie. Nadarzała im się szansa, na którą czekali całe ży-

cie. Lecz człowiek wychowany w warunkach cywilizowanych niełatwo zdobywa się na zastrzelenie sąsiada na zimno bez wypowiedzenia słowa. Zanim minął moment wahania i decyzji, sama natura wtrącała się między nich. Gwałtowny podmuch wiatru wstrząsnął wielkim starym drzewem, które z hukiem obaliło się na ziemię, nakrywając konarami obu zwaśnionych mężczyzn. Leżeli blisko siebie, niemal mogąc się dotknąć, lecz zupełnie bezbronni i przygwożdżeni do ziemi ciężarem gałęzi.

Twarz Georga była zalana krwią, Ulrich był całkiem unieruchomiony, lecz obaj żyli i byli przytomni.

Georg odezwał się pierwszy.

— A więc nie jesteś zabity, jak by ci się słusznie należało. Za to jesteś uwięziony w lesie, który ukradłeś. Oto prawdziwa sprawiedliwość — roześmiał się szyderczo.

— Jestem unieruchomiony w moim własnym lesie — odpowiedział Ulrich — gdy przyjdą tu moi ludzie, aby mnie uwolnić, będziesz mi zapewne zazdrościł, ty kłusowniku.

Georg milczał przez chwilę, a potem powiedział.

— Czy jesteś pewien, że twoi ludzie znajdą coś do uwolnienia? Ja też mam tutaj swoich ludzi, są blisko mnie i oni będą pierwszymi, którzy tu przyjdą i oni właśnie zajmą się „uwolnieniem”. Gdy wyciągną mnie spod tych przekłetych gałęzi, to wystarczy ich jeden niebezpieczny ruch, aby ten wielki pień przykrył ciebie całkowicie. Twoi ludzie znajdują już tylko trupa. Będę na tyle uprzejmy, że prześlę twej rodzinie kilka słów kondolencji.

— To dobra myśl — odpowiedział Ulrich — moi ludzie idą za mną w odległości dziesięciu minut, z których siedem już minęło. Gdy mnie wyciągną, będę pamiętał o twoim pomysle. Tylko ponieważ ty zginięsz jako kłusownik w moim lesie, nie wysłę chyba kondolencji.

— Dobrze — warknął Georg — rozegramy tę walkę

aż do końca, ty, ja i nasi leśniczy. Żadni intruzi nie wtrącają się już w tę sprawę. Śmierć tobie Ulrichu von Gradwitz.

— Nawzajem!  
Obaj mężczyźni mówili z goryczą, gdyż obaj wiedzieli, że może minąć sporo czasu, zanim ich ludzie znajdą się na miejscu. Było sprawą czystego przypadku czy i gdzie pojawią się pierwsi.

Obaj zaniechali już wszelkich prób wydostania się spod ciężaru splecionych gałęzi. Ulrich ograniczył swoje wysiłki do uwolnienia jednej ręki, tak że mógł sięgnąć do kieszeni po butelkę wina. Nawet gdy udało mu się ją wyjąć, trwało dość długo, zanim zdołał wyciągnąć korek i nalać sobie trochę płynu do gardła. Ale za to jakim niebiańskim napojem wydało mu się to wino! Zima była ostra, wino podziało rozgrzewając i nagle Ulrich poczuł coś, jak przypływ litości dla swego przeciwnika, z którego ust unosił się cichy jęk, a chwilami słowa przekleństwa.

— Czy potrafisz chwycić butelkę jeżeli ją rzucę w twoją stronę? Napijmy się, nawet jeżeli jeden z nas musi umrzeć dzisiejszej nocy.

— Nie. Nic nie widzę — odpowiedział Georg — mam oczy zalane krwią. Poza tym nie będę pił wina razem z wrogiem.

Ulrich milczał przez chwilę. Jakaś dziwna myśl przyszła mu do głowy, gdy patrzył na mężczyznę, który tak dzielnie walczył z bólem i wyczerpaniem. Czuł, że zanika w nim dawna nienawiść.

— Sąsiedzie — powiedział — Zrobisz jak będziesz chciał, jeżeli twoi ludzie przyjdą przed moimi. Ja natomiast rozmyślałem się. Jeżeli pierwsi przyjdą moi ludzie, to najpierw uwolnią ciebie, tak jak gdybyś był moim gościem. Wojowaliśmy tyle lat o ten kawałek lasu i myślę, że postępowaliśmy bardzo głupio. Istnieją lepsze rzeczy niż kłótnie o lasy graniczne. Jeżeli zgodzisz się zapomnieć o starych waśniach — to możemy być przyjaciółmi.

Georg Znaem milczał tak długo, iż Ulrich pomyślał, że może zemsta z bólu i upływu krwi. Lecz ostatecznie odezwał się chrapliwym głosem:

— Jakże by się dziwiła cała okolica, gdybyśmy przyjechali razem na rynek. Nikt z żyjących ludzi nie pamięta, by jakiś Znaem rozmawiał przyjacielsko z von Gradwitzem. Jaki spokój zapanał między leśniczymi jeżeli dzisiaj zakończymy nasze spory. I nikt między nas się nie wtrąci, nie będzie



żadnych intruzów... Mógłbyś przyjść do mnie na Sylwestra, ja przyszedłbym do twojego zamczyska na jakieś święto... Nigdy bym już nie oddał strzału w obręb twojego lasu. A ty mógłbyś przychodzić do mnie polować na wodne ptactwo... Często walałem moje wino... Ulrichu von Gradwitz, będę twoim przyjacielem.

Przez pewien czas obaj mężczyźni milczeli. I po chwili każdy modlił się, aby jego ludzie przyszli pierwsi, tak aby mógł okazać pomoc wrogowi, który stał się jego jacielem.

Nagle ucił wiatr. Ulrich przerwał milczenie.

— Spróbujmy wołać o pomoc — powiedział — w tej ciszy może ktoś usłyszy nasze głosy.

— Możemy spróbować, choć wątpię, aby nas ktoś usłyszał. Nie razem.

Podnieśli głosy w zawołaniu łowieckim.

— Jeszcze raz — powiedział Ulrich w kilka minut później nie słysząc żadnego odzewu.

— Zdaje mi się, że coś się stało — zauważył Ulrich.

— Tylko wicher — odpowiedział Georg.

Przez chwilę panowało milczenie, po czym nagle Ulrich odezwał się radośnie.

— Widzę jakiegoś postacie biegnące przez las. Podążają tą drogą, którą tu przyszedłem.

Obaj mężczyźni zaczęli krzyczeć jak tylko mogli najgłośniej.

— Słyszeli nas. Stanęli. Te raz już chyba nas widzą. Biegną w naszym kierunku — wołał Ulrich.

— Ilu ich jest? — spytał Georg.

— Nie wiem dokładnie — odpowiedział Ulrich — ale chyba dziewięciu lub dziesięciu.

— A więc to są twoi ludzie. Ze mną poszło ich tylko siedmiu — odpowiedział Georg.

— Biegną, jak mogą najszybciej! Porządni chłopcy! — Ulrich był bardzo ucieszony.

— Czy to są twoi ludzie? — spytał Georg. — Czy to na pewno są twoi ludzie? — powtórzył niecierpliwie, nie otrzymując odpowiedzi.

— Nie — powiedział Georg z jakimś idiotycznym śmiechem, jakby ogarnięty straszonym przerażeniem.

— A kto to jest? — spytał Georg, natężając wzrok.

— To są wilki.

(opr. m.r.)



## Lewym okiem

### STAN WYJĄTKOWY

Pewna starsza pani, którą znam od wielu lat, co dzień z rana zwierza się otoczeniu: — Jakoś dzisiaj wyjątkowo źle się czuję. Osoba ta jest klasycznym przykładem permanentnego, wiecznego stanu wyjątkowego, który oczywiście dawno został uznany za stan najzupełniej normalny i przestał kogokolwiek interesować.

Bardzo niedobra jest wyjątkowość na co dzień. Do literatury młodopolskiej przede wszystkim dlatego tak trudno się dzisiaj zmusić — mimo niewątpliwie zawarte w niej uroku i dziwności — że występujące tam postaci są ciągle w nastroju niesłychanej egzaltacji. U Przyszewskiego czy u Witkiewicza — jeśli mężczyźni lub kobiety ogarnia „chuć”, to już taka, że wstyki wulkanu światła są w odnośny opis zaangażowane, komety i trzęsienia ziemi, pożary słońca i otchłanie pełne smoków piekielnych. W „Miliardach” Struga dla oddania nastroju me lanchoii panińskiej uruchamia się lodowce Alp, borealne zorze nad pustynią, księżyc nad olwianymi oceanami. I tak z chwili na chwilę, z dnia na dzień, ze strony na stronę — same stany wyjątkowe.

Stanowczo — nawał wyjątkowości jest bardziej męczący i nudny, niż szara, normalna zwyyczajność. Już po krótkiej chwili zmobilizowania

czujnej uwagi, zaalarmowania możliwością nadzwyczajnych zdarzeń, kar, nagród, tępiemy na każdy następny bodziec z szybkością równą kwa dratowi nążeńia bodźca. Pardon, to taka próba unaukowania problemu. Mówiąc po ludzku — coraz bardziej wyjątkowe muszą być następne sprawy, żebyśmy je w ogóle dostrzegli.

Przestajemy wierzyć i przejmować się wyjątkowymi przepisami, jeżeli jest ich więcej niż niewyjątkowych. Czynniki przepięsotwórcze czasami zapominają o tym prostym prawie psychologicznym i co drugą sprawę skłonne są traktować jako zupełnie szczególną, wymagającą specjalnej uwagi, pierwszą przed wszystkimi. Trochę za dużo mamy najpierwszych spraw. Przestajemy wierzyć, hélas!

W transporcie kolejowym szczególnie trudny jest okres przewozów jesienno-zimowych. Bo i buraki trzeba zwieźć z pól do cukrowni i setki tysięcy ton ziemniaków, i węgiel rozwieźć po kraju do setek tysięcy pieców. Ogłasza się więc stan wyjątkowy, polegający na tym, że użytkownik wagonów kolejowych ma obowiązek zaledowywać je i wyładowywać w niedziele i święta, o każdej porze dnia i nocy, że za przetrzymanie wagonu ponad określony czas płaci pięciokrotną stawkę „osłowego”, za nieuporządkowany wagon po opróżnieniu — dziesięciokrotną karę i tak dalej! Zarządzenia są słuszne, szczyt przewozów wymaga szczególnego napięcia uwagi i staranności. Jeśli się jednak równocześnie ogłosi — jak w sezonie bieżącym — że „za okres przewozów jesienno-zimowych należy uważać okres od 1 lipca do 31 marca”, to szczyt staje się czymś w rodzaju wysokiego płaskowzgórza. Dziewięć miesięcy jesieni, a potem lato i lato. Dziewięć miesięcy stanu wyjątkowego, a tylko trzy — zwyczajnej, ciężkiej i tego tego pracy. No przecież to jest po prostu nowa jakość, nowy stan faktyczny, a nie żaden przemijający wyjątek!

Co drugie pismo władz nadrzędnych do jednostek nadzorowanych kończy się zdaniem: „sprawę należy traktować jako szczególnie ważną i pilną. Za jej terminowe i należyte załatwienie czyni się odpowiedzialnym osobiście dyrektora...”. A dyrektora dyrektor ma już tych szczególnie ważnych spraw tyle, że i tak musi z nich na własnego nosa wybierać jeszcze szczególniejsze, a potem spośród tych — najszczególniejsze, którymi zajmie się osobiście. Na całej reszcie postawił zwyczajnie zygzak z ogonkiem i pismo poleci normalnym trybem, tak jak powinno, do referenta, gdzie będzie czekać swojej kolejki. Być może, że nos dyrektora będzie przy tym niedoskonały i przetasuje niechcący sprawę naprawdę ważną z błahymi. No cóż, skoro zdevaluowała się etykieta „wyjątkowości”, pozostaje nos dyrektora.

Przemysł, który produkuje wyroby rynkowe powszechnego użytku, otrzymuje co parę dni „wytyczne”. Ze w dostawach wyrobów gotowych należy priorytetowo traktować zamówienia eksportowe. Ze pierwszeństwo w wysyłce należy zapewnić na rzecz stolicy. Ze w pierwszej kolejności należy zaopatrzyć rejon iks. Ze przede wszystkim zaspokoić handel półdziejczy. Ze najpierw wysłać do pionu ygrek. Jednocześnie poleca się wysłać przede wszystkim artykuły sezonowe. Ale w pierwszej kolejności — nowe wzory. Ale najpierw — artykuły z remanentów. Przed innymi — artykuły młodzieżowe, zwłaszcza przecenione, z pierwszeństwem dla dużej numeracji... A pierwsze miejsce jest tylko jedno. Nie ma co się więc zastanawiać: wysyłamy jak leci. I tak będzie źle. Z samych założeń przecież zdaje się wynikać, że wszystko co normalne, słuszne i prawidłowe jest stanem zupełnie wyjątkowym.

CWIEK